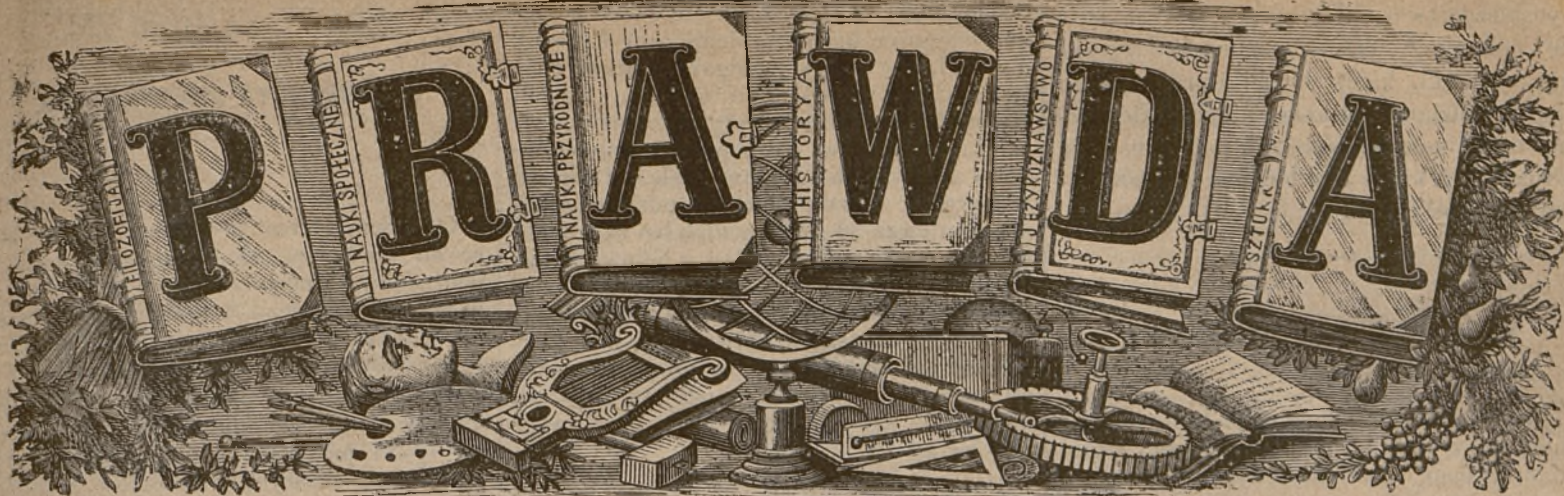
№ 4. Warszawa, dnia 28 (16) Stycznia 1888 r. Rok VIII.



TYGODNIK POLITYCZNY, SPOŁECZNY I LITERACKI.

PRENUMERATA „PRAWDY"
(wraz z bezpłatnym dodatkiem)
W Warszawie: miesięcznie kop. 70, kwartalnie rs. 2, rocznie rs. 8 z odnoszeniem do domu.
Z przesyłką pocztową do wszystkich miejsc Królestwa, Cesarstwa i zagranicy: kwartalnie rs. 2 k. 50, rocznie rs. 10.

Adres: Złota Nr. 23.

Administracya otwarta codziennie, z wyjątkiem niedziel i świąt ważniejszych od godz. 10 do 5.
Redaktor przyjmuje interesantów w czwartki, piątki i soboty od 1 do 3 po południu.
Rękopisy drobne nie zwracają się.

Przedpłatę przyjmują: Administracya Prawdy oraz księgarnie, kioski i kantory pism peryodycznych.
Sprzedaż pojedynczych numerów po kop. 20 w Warszawie w Administracyi pisma i w kioskach.
Ogłoszenia wszelkiej treści po kop. 6 za wiersz lub jego miejsce.

POLITYKA.

NOWE PODMUROWANIE POKOJU.

Przypuśćmy, że wszystkie uzbrojenia, ogromne armie, pospiesznie nawet dla Rumunii wyrabiane karabiny repetyerowe, bajeczne budżety wojskowe itd., że cały ten arsenał jest ubezpieczeniem „pokoju," że Niemcy, które tę sofistykę najbezczelniej głoszą, nie chcą zaczepiać nikogo i wywoływać starcia — zastanówmy się, do jakiego stanowiska one w takim razie dążą i jaki przywilej sobie monopolizują? Według ich teoryi, Europa jest zmurtowana prądami rozkładowymi, skłócona w swych stosunkach, obsiana ziarnami nienawiści i samolubstwa, tak dalece, że gdyby państw sobie wrogich nie powstrzymywała jakaś siła potężna, rzuciłyby się one w zażartą walkę, której rozmiaru i skutków przewidzieć niepodobna. Taką właśnie siłą, trzymającą wszystkich w porządku, spokoju i rygorze, są Niemcy. Od ich woli zależy, jak Europa ma żyć i działać, w fałdach togi ks. Bismarka spoczywa pokój i wojna, one decydują o słuszności i dojrzałości roszczeń wzajemnych między mocarstwami. Ponieważ zaś środki orężne tych mocarstw są znaczne i wzrastają ciągle, Niemcy przeto, jako najwyższy pan i rozjemca, muszą ustawicznie podnosić swą moc w tym stopniu, ażeby ona wyrównywała sumie innych. Obecnie żądają one od sejmu pomnożenia wojska o 600,000, a wydatków na ten cel o 200 kilkadziesiąt milionów marek. Wysiłek straszliwy, wprost — groźny. Ale znowu jest on usprawiedliwiany potrzebą „zabezpieczenia pokoju," to znaczy potrzebą utrzymania zwierzchnictwa niemieckiego w Europie.

Powtarzamy: przypuśćmy, że to prawda, to zauważyć należy, że jeśli zbrojenie się Niemiec w zamiarze wojny byłoby dla jej sąsiadów niebezpiecznem, to zbrojenie się ich w zamiarze „pokoju," czyli panowania nad Europą jest dla niej dziwnie upokarzającem. Jakto, więc ta Europa nie może sama pogodzić swoich interesów, złagodzić sprzeczności, naprawić krzywd, postanowić o swych losach, tylko musi mieć i słuchać jednego pana? Dziwne dziwy! A tak ona przywykła do tego poddańczego stosunku, że nie czuje obrazy w dowodzeniu gazet niemieckich, upewniających ją, że wojny nie będzie, dopóki ks. Bismark nie zechce, a on teraz — na lat trzy — nie chce! Nie chce sam wywoływać starcia i nie pozwoli nikomu. Szczególnych dożyliśmy czasów! Zdawałoby się, że taka hegemonia jednego państwa nad innemi jest w naszej epoce niemożliwą, a przecież... Dawno już — może nigdy — historya nie słyszała tej pychy i wzgardy dla innych, z jaką przemawia prasa niemiecka. Jest to język potęgi szyderczej, samolubnej, poniewierającej, jest to język Brennusów, gotowych rzucić miecz na szalę losów i przekonać, że on ją niewątpliwie przeważy.

Na obrady sejmu, zajętego pomnożeniem wojska i pieniędzy, ma przybyć osobiście ks. Bismark. Wątpimy, ażeby on wziął z rąk jakiejś gadzinowej hałaśnicy pochodnię wojny i zaświecił nią Europie; przewidujemy raczej, że on tę pochodnię przygasi i że roztoczy znowu swoją starą teoryę obowiązku Niemiec w strzeżeniu pokoju. Powtórzy — co już wielokrotnie powiedział — że państwa pozostają dotąd w niezgodzie, grożącej niebezpiecznymi wybuchami, że jego rząd stara się je stłumić, że ma nadzieję rozdzielenia zaperzonych kogutów i uchwycenia za kołnierz burzliwych awanturników, ale że do tego potrzebuje mocnej ręki, którą mu daje tylko wielka armia. Naturalnie po tem oświadczeniu naiwna a nadewszystko niewrażliwa na swą godność „Europa odetchnie," zrzuci z piersi zmorę wojny i nadzwyczajnie się ucieszy, że jej walczyć nie pozwolono. Będziemy czytali ogromne artykuły, zaznaczające „nowy zwrot" w polityce, będziemy widzieli miny zadowolone, a tymczasem zatrwożona prasa nie odzyska ufności do jutra, narody nie wyjdą z trwogi a giełdy przyjmą tęczę pokoju dalszą zniżką kursów. Tak było już nieraz, więc znamy tę kolej objawów. I nie zmieni się ona dopóty, dopóki Europa w decydującem starciu nie wyładuje swych gromów a Niemcom nie wytrąci z rąk berła i pioruna.

Od „objawienia się" tedy bożyszcza w sejmie niemieckim, od jego „zejścia do ludu" nie oczekujemy wcale „rozjaśnienia ciemności zalegających świat cały" i sprostowania domysłów fantastycznych. Ewangelię jego umiemy już na pamięć: na kolana przed Niemcami! Oto rdzeń jej treści. Czas służby wojskowej musi być przedłużony, 600,000 wojska musi powiększyć armię, 200 kilkadziesiąt milionów marek musi być na ten cel uchwalonych, bo Germania

musi utrzymywać wszystkich w trwodze i posłuszeństwie, które w jej języku zwie się „pokojem.“ Trzeba więc czekać cierpliwie tej chwili, kiedy wypadki przez nikogo nieprzewidziane i nikomu niepodległe uderzą w tę żelazną wolę tak potężnie, że ją zdruzgoczą, kiedy nad biegiem dziejów żaden Bismark nie zapanuje. A to nastąpi.

TYDZIEŃ POLITYCZNY.

Gdyby nie obstrzelone ucho Ludwiki Michel i nie wyplute chrząstki następcy tronu niemieckiego, kronika polityczna ubiegłego tygodnia miałaby prawie pustą kartę. Bo ani nowa bójka na granicy francuzko-niemieckiej, ani wyprawa kilkudziesięciu awanturników, pragnących zdobyć Bułgaryę, nie dostarczyły gazetom posilnego materyału. Przechodząc kolejno te wielkie zdarzenia, zapisać winniśmy: że Ludwika Michel, która tyle razy próbowała daremnie świat zburzyć, na ołtarzu tej idei mimowoli złożyła swoje ucho: że następca tronu ma się coraz lepiej, a wyjęte mu z gardła i badane przez Virchowa cząstki narośli rakowatej okazały się podobno kawałkami kompotu, co jest bardzo nieprzyjemnem odkryciem „für die grössten medicinischen Capacitäten Deutschlands,“ że powstańcy, którzy usiłowali przez Burgas wtargnąć do Bułgaryi, rozbili się o nią tak nieszczęśliwie, jak „traktatowa Europa“: że nic z każdej bijatyki granicznej między francuzem a niemcem nawet w dzisiejszych czasach da się wydać sprawą dyplomatyczną.

Naturalnie prasa, obejrzawszy szybko kawałki kompotu nierakowatej natury i ucho nowożytnej Joanny, pyta i zastanawia się w dalszym ciągu: czy będzie wojna?

„W gazetach — mówi *Now. Wremia* — nie widzimy bynajmniej uspokojenia. Sprawa bułgarska służy obecnie za powód do nowych napaści. To oskarżają gen. Ignatiewa, to komitet słowiański, to p. Chitrowo. Przy zabitych znaleziono kilka listów, które nic nie mówią o udziale rządu ruskiego w tej sprawie. Jest to po prostu korespondencya pomiędzy uczestnikami napadu. Pomiędzy listami jest jeden p. Chitrowa, donoszący o tem, że bułgar Iwanow porzucił Bułgaryę, widocznie z powodu prześladowania i że zaopatrzony został w dokument na wyjazd do Rosyi. I nic więcej. Austryacy chcą widocznie, aby nikt w Rosyi nie chciał pomagać bułgarom ani pieniędzmi, ani słowami, a nawet, aby wszyscy bułgarzy, którzy chcą wyjechać do Rosyi, byli odsyłani księciu Koburskiemu. Lecz zajście pomiędzy oficerami a policyą w Filipopolu trochę zmieszało austryaków. Rozumie się, iż sprawę w Burgasie można objaśnić udziałem Rosyi, ponieważ 30 lir tureckich (co za suma!), o których wspomina jeden z listów, przysłane zostały bezwarunkowo z Rosyi! Lecz zajście pomiędzy oficerami a policyą wymaga innych objaśnień. Odważny książę Ferdynand koburski, który na nowy rok szczycił się swoją „szpadą,“ odłożył wyjazd, obawiając się widocznie zbyt gościnnego przyjęcia.“

Pisma ruskie prawie bez wyjątku malują położenie barwami czarnemi, których zresztą im dostarcza prasa niemiecka. Jak zauważyliśmy już dawniej, prasa ta rozdzieliła między sobą trudy obrabiania opinii publicznej i podczas gdy jedne dzienniki zalewają ogień wodą, inne — oliwą. Ta odmienność taktyki nie jest różnicą głosów „natchnionych“ i samodzielnych, lecz występuje właśnie między natchnionymi. Tak np. *Post*, *Kölnische Ztng* i inne biją w bęben wojny, a *Nord. Allg. Ztng* wygrywa na fleciku pokojowym. Ta rozdźwięczność osiąga zamierzony skutek — podtrzymuje chaos mniemań, o który ks. Bismarkowi zawsze chodzi.

W sejmie pruskim minister Gosler odpowiedział na interpelacyę w sprawie usunięcia języka polskiego ze wszystkich szkół. Jak nietrudno było zgadnąć, oświadczył on, że chodzi tu o ściślejsze połączenie żywiołu polskiego we wszystkich warstwach z niemieckim, przyczem zauważył, że nazwa: „W. Księztwo Poznańskie“ istnieć przestała, używanie więc jej jest zbytecznem.

W sejmie węgierskim wniesiono interpelacyę, dotyczącą ogólnego położenia politycznego Europy. O ile takie pytania ciekawych posłów nie są obstalowane przez ministrów dla zyskania sposobności do wynurzeń celowych, o tyle odpowiedzi nie mają żadnej wagi. Morze ogólników wieloznacznych jest olbrzymie i zawsze z niego czerpać można słowa potrzebne dla mowy wielowyrazowej a pustej.

SPRAWY EKONOMICZNE.

KONKURENCYA AMERYKAŃSKA.

I.

Olbrzymi rozrost produkcyi krajów, które do niedawna na rynkach europejskich podrzędną odgrywały rolę, a dziś stały się w pewnych gałęziach handlu jego panami — zwraca uwagę starego świata na niebezpiecznych, bo potężnych zapaśników.

W rzędzie najgroźniejszych stoi Ameryka Północna, zasypująca płodami rolniczymi rynki przywozu i dostarczająca towar po cenach niższych od kosztów rolnictwa europejskiego.

Zagrożeni w swym bycie rolnicy lądu stałego nie poprzestali na bacznem śledzeniu postępów przeciwnika, lecz postanowili na miejscu poznać jego siły. Gdzie tylko rządy rzeczywistą opieką otaczają ich pracę, tam wyznaczono komisye i wysłano specyalnych delegatów z poleceniem gruntownego zbadania rozmiarów produkcyi amerykańskiej, a nadewszystko jej przyszłości. Tak np. przed czterema laty rząd włoski wyprawił do Ameryki Luzattiego a w roku zeszłym udał się tamże z Niemiec Sering i obaj po powrocie złożyli rządom i krajom swoim wyczerpujące sprawozdania. Środek ten zbawiennym się okazał z tego względu, że do właściwej miary sprowadził pojęcia stwrożonych europejczyków, którzy o niewyczerpanem bogactwie gruntów Ameryki i o jej mocy eksportowej wytworzyli sobie prawdziwie bajeczne poglądy.

Zwrócimy tu uwagę czytelników, jako na świeższy, na referat Seringa.

Prosimy o cierpliwość i wyrozumiałość dla szeregu cyfr poniżej zamieszczonych, gdyż one tylko są w stanie oświetlić kwestyę.

Nagłe podniesienie się produkcyi amerykańskiej wywołane zostało zajęciem pod kulturę nadzwyczaj żyznych gruntów w „far West,“ to jest w zachodnich stanach Unii, przy jednoczesnem zastosowaniu technicznych i spekulacyjnych ułatwień, których stara Europa nie zdołała jeszcze u siebie zaprowadzić. W żadnem przedsiębiorstwie nie ujawniła się tak dalece siła kapitału, jak w rolnictwie amerykańskiem. Nie jest to odosobniona i częstokroć bezwładna ro-

---

3)

Z dziennika Goncourtów.

III.

22 *czerwca*. Obiad u Magnego.

. . . .

Gautier. Mieszczaństwo! Ach! osobliwsze rzeczy dzieją się wśród mieszczan. Zbadałem kilka ich domów. Doprawdy, trzeba zakrywać twarz ze wstydu... Grzech sodomski na porządku dziennym, występek brudny nie ustaje na chwilę, zezwierzęcenie...

Taine. Co do mnie, to znam mieszczaństwo dosyć dobrze. Pochodzę sam z rodziny mieszczańskiej... No, ale przedewszystkiem, co wy rozumiecie przez mieszczaństwo?

Gautier. Ludzi, co mają od pięciu do dwudziestu tysięcy franków renty i nic nie robią.

Taine. Otóż właśnie mogę wam przytoczyć ze trzydzieści mieszczanek, które znam i które są uczciwe.

Ktoś z towarzystwa. Skąd pan wiesz o tem? Sam Bóg nie może wiedzieć napewno.

Taine. Naprzykład w Angers kobiety są tak strzeżone, że jest najwyżej jedna, o którejby można coś złego powiedzieć.

Saint-Victor. Ach w Angers!.. Ależ tam przecież sami pederaści, pierwszej klasy.

. . . .

Sainte-Beuve. Wiecie, panowie, Jerzy Sand ma zamiar napisać coś o synu Rousseau'a, z czasów rewolucyi... Będzie to najporządniejsza ze wszystkich jej rzeczy... Cała przejęta jest tematem... W tych dniach obdarzyła mię aż trzema listami... Zadziwiająca organizacya!

Soulié. Jest przecież jakiś wodewil Théaulon'a, opiewający dzieci Rousseau'a.

Rénan. Pani Sand to jeden z największych artystów naszego czasu i talent najprawdziwszy!

Całe towarzystwo. Oh!.. Ah!.. Oh!.. Ah!..

Saint-Victor. Ale co najciekawsze, to, że ona pisze na papierze listowym!

Rénan. Doprawdy, ja nie pojmuję realizmu.

Sainte-Beuve. Pijmy; ja piję w ręce wasze, Scherer.

. . . .

Taine. Hugo, Hugo nie ma wcale szczerości...

Sainte-Beuve. Jakto, Taine, wy stawiacie Musseta nad Wiktora Hugo! Ależ Hugo pisze prawdziwe dzieła... Toż on ukradł z przed nosa rządowi, który jest przecież dość potężny, największe powodzenie tego czasu... On przeniknął wszędzie: kobiety, naród, wszyscy czytają go. Nakłady jego książek wyprzedają się przez cztery godziny, od ósmej do dwunastej... Ja, gdym przeczytał jego *Ody i Ballady*, chciałem zanieść mu wszystkie swoje poezye... Ci z *Globe'u* nazywają go barbarzyńcą... Otóż wszystko, com napisał, zawdzięczam jemu tylko... Przez dziesięć lat literaci z *Globe'u* niczego mię nie nauczyli.

Saint-Victor. Wszyscy my od niego pochodzimy.

Taine. Za pozwoleniem, Hugo jest wprawdzie w dzisiejszych czasach zjawiskiem nadzwyczajnem, ale...

Sainte-Beuve (bardzo ożywiony). Taine nie mówcie o Wiktorze Hugo!.. Wy go nie znacie... Jest nas tutaj dwóch tylko, którzy go znamy dobrze, Gautier i ja... Ależ dzieła Hugona są wspaniałe!

Taine. Jest to, zdaje mi się, sztuka, którą wy teraz nazywacie poezyą: odmalować dzwonnicę, niebo, wogóle odtwarzać przedmioty. Ja tego nie nazywam poezyą, dla mnie jest to malarstwo.

Gautier. Taine, sądzę, że wy się nawracacie do idyotyzmu mieszczańskiego. Wymagać od poezyi sentymentalizmu... nic, to nie uchodzi. Wyrazy promieniejące, zdania pełne światła... z rytmem i muzyką —

bota producenta europejskiego, lecz potężna, rzutka, nieoglądająca się na jutro praca yankesa, dla którego *dziś* jest pieniądzem. Doskonałe machiny i narzędzia, wyborne, spieszne i tanie komunikacye, elewatory i warranty, które ułatwiają ładowanie, przechowanie i handel zbożem, wytworzyły prawdziwą gorączkę wśród amerykanów i nadały kierunek spekulacyjny tamtejszej eksploatacyi ziemskiej. Pracy rolniczej chwycili się nie ludzie specyalnie uzdolnieni, lecz przedsiębiorcy, pragnący jednej chwili wyczerpać przyrodzone bogactwa dziewiczych gruntów, wyssać do ostatka ziemię, jak najprędzej, choćby dziś, aby jutro nowe przestrzenie oddać pługowi i nowy na nich prowadzić rabunek. Ta *raubwirtschaft* yankesów ocaliła Europę, ten system — a raczej brak wszelkiego systemu — odsuwa od nas niebezpieczeństwo.

Przyjrzyjmy się tej oryginalnej a ciekawej produkcyi.

W 1850 r. przestrzenie uprawne w Stanach Zjednoczonych zajmowały 293,560,614 akrów, w r. 1880 objęły już 536,081,835, a w ciągu tych lat 30 zbiór produktów rolniczych zwiększył się w rozmiarach następujących:

Zebrano milionów buszli: *)

	w r. 1850	w r. 1880
pszenicy . . .	100.486	459,483
kukurydzy . .	592,071	1,574.592
owsa	146,584	407,859

Drugorzędne płody (jęczmień, żyto, grykę) pomijamy, jako niebędące przedmiotem wywozu.

Wartość zbiorów rolniczych lat ostatnich, wynosiła w milionach dolarów:

w 1873	roku	1,245.1
„ 1880	„	1,361,5
„ 1881	„	1.470,9
„ 1882	„	1,468,7
„ 1883	„	1,280,8
„ 1884	„	1,184,3

W milionach hektolitrów zebrano:

	pszenicy:	kukurydzy:
w okresie 1870—75 r.	92,0	346,2
„ 1877 r.	128,3	520,8
„ 1880 „	175,7	605,1
„ 1881 „	135,0	421,4
„ 1882 „	177,7	569,8
„ 1883 „	148,4	549,5
„ 1884 „	180,7	632,7
„ 1885 „	125,8	182,2

*) W. Załęski: *Produkcya i handel zboża.*

Pod uprawą pszenicy znajdowało się w r. 1871—19,943,893 akrów; w 1884 przestrzeń ta wzrasta do 39,475,885 akrów, w roku zaś następnym 1885 zmniejsza się o 5½ miliona akrów. Kukurydza zajmowała w r. 1871 34,091,137 akrów a w r. 1885 obejmuje już 73,130,150 akrów.

Wywóz Stanów Zjednoczonych*), zwiększając się ogromnie, doszedł w 1879—80 do 288 mil. buszli i rok ten stanowił punkt kulminacyjny wywozu, bo odtąd zaczął się on zmniejszać, tak, że w 1882—83 wywożono zboża i mąki z Ameryki za 208,040,850 dolarów, w 1883—84 — za 162,544,715 dol., zaś w 1884—85 — za 160,370,821 dolarów, w czem:

do W. Brytanii z Irlandyą	na	101,842,200	dolarów
„ Francyi	„	9,281,540	„
„ Belgii	„	9,52, 068	„
„ Niemiec	„	4,345,781	„
„ Holandyi	„	3.718,404	„
„ innych państw	„	31,861.828	„

Głównym odbiorcą produkcyi amerykańskiej jest W. Brytania, która z ogólnego wywozu Stanów Zjednoczonych otrzymuje 60%.

Z powodu ekstenzywności systemów gospodarczych, wysokość plonów zboża w Ameryce jest bardzo niewielka i wynosi średnio dla pszenicy 23,6, dla kukurydzy 12,3, owsa 26,7 hektolitrów z hektara. Za to koszta produkcyi są małe i wynoszą w Illinois 83 cent., a w Stanach zachodnich od 50 do 67 cent. na buszla pszenicy i skutkiem tego ceny wciąż się obniżają, tak, że w r. 1884 płacono za hektolitr pszenicy w Chicago 7,83 do 8,52 marek, a w New-Yorku 8,94 do 9,60 m. niem.

Z przedsiębiorczością i wytrwałością podziwu godną amerykanie usuwali przeszkody i ułatwiali środki, którymi można było uskuteczniać transporty zboża. Główną arterye wodną Mississipi wraz z jej dopływami: Missouri, Arkausas, Red-River, Ohio i Tenessee połączono między sobą i między jeziorami północnemi całą siecią kanałów. Wybrane drogi lądowe i wodne, doprowadzone do najoddaleńszych miejsc produkcyi, dały możność prędkiego i taniego przerzucania wielkich mas zboża w doliny Ohio i Stanów północno-zachodnich do oceanu Atlantyckiego. Niebawem wywiązało się olbrzymie współzawodnictwo między kanałami i kolejami żelaznemi oraz tych ostatnich między sobą, na czem naturalnie zyskali handlujący zbożem, mając zapewnione coraz tańsze transporty.

*) Neumann-Spallart: *Uebersichten der Weltwirthschaft.* Stuttgart, 1887.

Nie na tem jednak ograniczyły się usiłowania w celu ułatwienia handlu zbożem. Prócz taniości i pośpiechu środków komunikacyjnych, pomyślano o dostarczeniu kredytu rolnikom i handlującym, oraz o uproszczeniu sposobów przechowania i wyładowywania zboża. W ten sposób powstały warranty i elewatory, to jest urządzenia, do których tak dawno a na próżno wzdycha nasze rolnictwo.

Warranty są kwitami depozytowymi na zboże złożone w magazynach, na które banki depozytowe udzielają pożyczki do wysokości 80—90% ceny targowej. Jest to rodzaj weksli w obrocie finansowym poszukiwanych, jako przedstawiających zupełne bezpieczeństwo.

Elewatory, to jest wielkie magazyny zbożowe z przyrządami do wyładowania i naładowania, założone zostały w głównych punktach handlowych („collecting points"), jak: Chicago, Filadelfia, New-York, Baltimore, Boston. Za małe wynagrodzenie elewatory dokonywają wielu czynności, jak: zsypywanie zboża do spichrzów dla czasowego przechowania, wyładowanie z wagonów i naładowanie na okręty, czyszczenie, szuflowanie, przesuszanie, ważenie itp.

Wszystko to odbywa się za pomocą przyrządów mechanicznych poruszanych siłą pary. Elewator w Filadelfii, zbudowany w r. 1881, wyładowywa w ciągu godziny 24 wagonów, lub naładowywa 25,000 buszli na okręt w tymże czasie. Największym zaś punktem składowym jest Chicago, posiadające 27 elewatorów, w których pomieście się może około 9 mil. hektolitrów zboża. To też obrót handlowy mąką i zbożem w Chicago wynosi rocznie przeszło 100 mil. hektolitrów.

Wobec tak znakomitych urządzeń technicznych i handlowych, produkcya zboża w Ameryce musiała przybrać znaczne rozmiary, zwłaszcza gdy opierała się na eksploatacyi gruntów świeżych, bogatych i nie przeciążanych podatkami. Czy zaś produkcya ta nadal ma widoki trwałego powodzenia w rozmiarach dotychczasowych, niech nam odpowie Sering, o którego podróży do Ameryki i świeżo wydanej pracy wspomnieliśmy na początku.

Gozdawa.

---

oto, czem jest poezya!.. To niczego nie dowodzi... Tak samo początek Ratberta... nie ma na świecie poezyi, nad tę. Jest to płaskowzgórze Himalaya. Macie tam całe Włochy herbowe... i nic prócz słów.

Neftzer. Jeszcze pytanie, czy pięknem jest to, co zawiera ideę.

Gautier. Z tobą, Neftzer, nie rozprawiam... Tyś się pojedнał z bozią, ażeby wydawać dziennik. Zdałeś się znowu na łaskę *starego.*

Śmiech ogólny.

Taine. Naprzykład kobiety angielskie...

Sainte-Beuve. Ach, nie ma jak francuzki... nieprawdaż, nie ma nic bardziej zachwycającego... Jedną, dwie, trzy, cztery, pięć kobiet: cudowna rzecz!.. Czy nasza przyjaciółka wróciła?.. I pomyśleć, że gdy dobiegasz do kresu, możesz mieć taką masę ślicznych buziaków... za nic... tyle tych nieszczęśliwych! Bo wynagrodzenie tych kobiet... Oto kwestya, nad którą ludzie, tacy, jak Thiers, nie pomyślą nigdy... Trzeba dla tego choćby zreformować państwo... To są sprawy...

Veyne. To ma znaczyć, że gdyby była konwencya...

Saint-Victor. Nie, one nie mogą wyżyć z tego, co mają. Ta mała z Gymnase, mająca 4,000 fr. rocznie, mówiła mi wczoraj...

Gautier. Zawsze twierdziłem, że prostytucya jest stanem normalnym kobiety.

Ktoś. W gruncie rzeczy Malthus...

Veyne. Malthus to hańba!

Taine. Lecz ja sądzę, że nie należy płodzić dzieci, gdy nie można zapewnić im egzystencyi. Co, dziewczęta mają wyjeżdżać do Rosyi za guwernantki — ależ to okropne!

Ktoś. Niech żyją żony, niech żyją kochanki bezpłodne!

Saint-Victor. Dajcie pokój... natura, wielki Pan!

Sainte-Beuve (półgłosem do sąsiada). Sprzedaję co rok własność jednego tomu. . To mi pozwala dawać kobietom parę bagatelek... na kolendę. Doprawdy są takie milutkie, że niepodobna oprzeć się...

Tutaj, Sainte-Beuve, rozweselony własnemi wspomnieniami, robi sobie kolczyki z pęczków wisien. *Tableau.*

Neftzer do Gautiera. Słuchaj no, tyś popełnił łajdactwo dzisiaj rano. Chwalisz w fejletonie *Moniteur'a* talent Maubanta i Racine'a.

Gautier. W samej rzeczy, Maubant jest pełen talentu... Ale oto mojemu ministrowi przyszła do głowy idyotyczna idea, wierzyć w arcydzieła... Byłem wprost zmuszony pisać sprawozdanie z *Andromachy*... A co do Racine'a, który pisał wiersze, godne wieprza, to o nim nie powiedziałem ani jednego pochlebnego słówka! A następnie wpuszczono do tej zabawy niejakąś Hagarę... Widziałeś ją przecie, mój wuju.

Gautier zwykł tutaj nazywać Sainte-Beuve'a tylko *moim wujaszkiem*, albo *wujem Beuve'em.*

Scherer (ze zgrozą patrząc z nad swoich binokli). Ależ, panowie, ja znajduję, żeście nietolerancyjni... Wszystko wyklinacie... Czegoż więc nareszcie mamy się chwycić... Należy reformować, zwalczać poglądy i pojęcia bezwiedne. Gust nie znaczy nic. Ja rozumiem tylko sąd i rozbiór, potrzeba przedewszystkiem sądu.

Ktoś. Ja pluję na sąd; nie tylko gust, bezwarunkowo gust.

Wrzawa powszechna.

Soulié. Nierozumiecie się wzajemnie.

Gavarni. Rozumiecie się aż za dobrze.

(Wychodzą).

Poniedziałek 20 czerwca. U Magnego.

...Tak, tak, ja go uwielbiam kompletnie, rzecze Rénan.

— Ależ do licha, krzyczy Sainte-Beuve, w tych przypowieściach są całe kupy niedorzeczności! Błogosławieni cisi, albowiem ich będzie królestwo niebieskie! Toć to nie ma sensu?

— A Sakia-Muni — dodaje Gautier — gdyby tak wypić za zdrowie Sakia-Muniego.

BADANIA NAUKOWE.

SOCYOLOGIA.

R. Garofala: *Ripparazione alle vittime del delitto.*

Szkoła antropologiczna prawa karnego przy wyznaczaniu „kary“ zważa jedynie na to, jaką rękojmię przestępca daje społeczeństwu w przyszłości. Odpowiedź na pytanie, czy wypada usunąć sprawcę zbrodni od wszelkich stosunków z ludźmi, czy też jedynie wyrwać z dotychczasowego otoczenia lub wreszcie i tego nie czynić, zależy nie od jakości popełnionego czynu, lecz od natury popełniającego. Tak, przestępców epileptyków, histeryków, idyotów, wogóle jednostki z patologiczną od urodzenia przewrotnością moralno-uczuciową, należy wykluczyć ze społeczeństwa w sposób bezwzględny i nieodwołalny, stosownie do natężenia przewrotności. Są znowu złoczyńcy z nałogu, wychowani przez otoczenie: zawodowi rzezimieszkowie, dzieci opuszczone, alkoholicy, zbrodniarze wskutek przesądów miejscowych, klasowych, religijnych. Odpowiednio do tego, z jaką kategoryą mamy do czynienia, Garofalo stawia różne sposoby uczynienia ich nieszkodliwymi dla pożycia społecznego: śmierć, system celkowy, deportacyą, kolonie rolne, wygnanie z wiadomego miejsca, kształcenie lub leczenie w stosownych zakładach. Lecz są jeszcze inni przestępcy, którzy zgoła nie zdradzają żądz zbrodniczych z urodzenia lub nabytych i których dotychczasowe życie upłynęło uczciwie wśród otoczenia nieprzestępczego. Tu należą popełniający czyny przeciw państwu (zbrodnie stanu, wykroczenia fiskalne, kontrabanda, opór władzom), oraz cały szereg przestępstw, jak: proste kradzieże, przywłaszczenia i podpalenia, umyślnie dokonane szkody, wydanie sekretu, potwarz, przypadkowe zabójstwa i w pojedynku, uwiedzenie dziewczyny i zamach na wstydliwość prywatną bez zgwałcenia i inne, gdy przestępca nie jest recydywistą, nie zdradza popędów chorobliwych, żył dotychczas z własnej pracy w stałem miejscu i nie pochodzi z rodziny chorej psychicznie. Pierwszych, politycznych, Garofalo pozostawia państwu i zajmuje się jedynie drugimi. Względem nich nasunęło się pytanie, co z nimi robić. Przestępca tej kategoryi narusza prawo zazwyczaj dzięki wyjątkowemu w jego życiu zbiegowi okoliczności i według wszelkiego prawdopodobieństwa będzie się wystrzegał powtórnego przekroczenia; środki więc karne panującej teoryi kryminalnej i wykluczające z pośród społeczeństwa—nowej, antropologicznej, są jednako nie na miejscu. Owbowiem człowiek daje prawdopodobną rękojmię swej nieszkodliwości na przyszłość. Tymczasem kara więzienia, dotychczas stosowana, przynosi uszczerbek zarówno jemu, jak i społeczeństwu. Przestępca przypadkowy, dostawszy się do zepsutego towarzystwa recydywistów, staje się nałogowym; i system celkowy oddziaływa, chociaż inaczej, lecz niemniej szkodliwie. Następnie społeczeństwo ponosi koszta na utrzymanie w więzieniu jednostek, niezagrażających spokojowi społecznemu. Wreszcie i sama ofiara nie na tem nie zyskuje. Co więcej, homeopatyczne nieraz dozy więzienia, którem karze się wielu przestępców tego rodzaju, nikogo nie odstręczają od popełnienia czynu niedozwolonego. Komukolwiek powierzono np. 1000 lirów, może sobie pomyśleć: „W razie sprzeniewierzenia się, gdy mi je dowiodą, posiedzę pół roku w kozie, po wyjściu użyję pieniędzy, które złożyłem w miejscu pewnem.“ Daleko odpowiedniejszem byłoby zastąpienie takiej kary więziennej, wraz z jej zachętą ku przestępstwu, wypłaceniem ofiarze szkody, lecz w dwa lub trzy razy powiększonej dla odstręczenia od występku. To wynagrodzenie pieniężne musiałoby być niejednakowe, stosownie do różnych okoliczności — np. zamożności winowajcy. Gdy chłop za potwarz płaciłby sto lirów, wówczas zamożny stokrotnie więcej. Względy praktyczne każą przedewszystkiem wyróżnić osoby wypłacalne i niewypłacalne. Nieograniczone więzienie, aż do spłacenia szkody, czeka pierwsze, gdy spieszyć się będą z uczynieniem zadość zasądzonemu wyrokowi. Drugie będą uiszczały się ratami z sum różnej wysokości, stosownie do rozmiarów zarobku, lecz zawsze takiemi, iżby pozostało im dość pieniędzy na zaspokojenie najkonieczniejszych potrzeb życiowych; w razie niespłacenia przedsiębrane byłyby stosowne środki, stawiające pracę pod kontrolą państwową.

Powyższe projekty Garofala, oparte nie na odpowiedzialności moralnej przestępcy i teoryi „wolnej woli,“ lecz na uzdolnieniu jego do przebywania w społeczeństwie, były przedmiotem szczegółowych rozpraw na pierwszym kongresie socyologii i antropologii kryminalnej w Rzymie, gdzie doczekały się drobiazgowego wypracowania ze strony Fiorettiego. Też same żądania w maju 1887 r. postawił H. Ferri w parlamencie włoskim.

C. Lombroso: *Tre tribuni, studiati da un alienista.*

Zdaniem Lombrosa, jak wie o tem czytelnik *Prawdy*, każdy normalny człowiek podlega ogólno-fizycznemu prawu bezwładności wskutek samego ustroju tkanki nerwowej i jedynie nieliczne jednostki z nienormalnem ukształtowaniem psychicznem stanowią wyjątek, w mniejszym lub większym stopniu, od tej zasady. Są to geniusze i obłąkańcy. Lecz istnieje jeszcze jedna grupa osób, *mattoidzi*, będący czemś pośrednie pomiędzy geniuszem, waryatem i człowiekiem normalnym, zapożyczający od pierwszych śmiałość w snuciu projektów, od drugich wązkie szranki maniactwa wraz z dziwackim sposobem wypowiadania, od ostatnich normalność we wszystkich innych czynnościach. Jako na jeden z należących tu typów można wskazać na zacietrzewionych pieniaczów. Mattoidzi odegrali w historyi pewną rolę, jako nowatorzy społeczni, uchwytujący jeszcze niesformułowane i często przedwczesne prądy, lecz przyodziewający je zwykle w szaty dziwackie manii i nieumiejący wyzyskać owoców zwycięztwa. Lombroso w najnowszej pracy rozpatruje tych z pośród nich, którzy wystąpili w roli trybunów ludowych. Dla przykładu bierze znanego średniowiecznego trybuna, Mikołaja Rienzi, który pierwszy wypowiedział hasło zjednoczenia Włoch, i dwóch podrzędniejszych działaczów włoskich chwili bieżącej, Coccapiellera i Sbazbara. Coccapieller, republikanin i jednocześnie długoletni gorliwy żołdak papieski i wielbiciel Wiktora Emanuela, ochotnik z szeregów Garibaldiego, ujeżdżacz koni, sekretarz z cyrku i jeszcze gorzej, dziennikarz, wreszcie deputowany dzięki nietaktownemu postępowaniu władz rzymskich, jest skończonym mattoidem, chorując na manię wielkości: „Wasz trybun, wasz przedstawiciel — mówi w swych artykułach — czuwa; ja jestem i wam nie trzeba innych wodzów.“ Przyrównywa się do Chrystusa, podpisuje się dziwackimi przydomkami itd. Cechą nowożytnych mattoidów jest jałowość ich działalności; nawet doszedłszy często, jak Rienzi, do władzy, zamiast czynu dają ciągle wyjawom maniackim: różnym oznakom dostojeństwa, przyjmowaniu dziwacznie brzmiących tytułów itd. Wielkie myśli dziejowe zostają bez zapłodnienia i sami oni, lubo dają początek fermentowi history-

---

— A Konfucyusz—zapytuje ktoś z towarzystwa.

— Ach! ten jest zabijający!

— No, a czy może być coś bardziej głupiego, niż Koran?

— Ach!—odzywa się Sainte-Beuve, nachylając się ku mnie: należy zgłębić wszystko i nie wierzyć w nic. Nie ma na świecie nic prawdziwego, prócz kobiety... Mądrością, Boże mój, jest mądrość Senac'a de Meilhan, mądrość, którą sformułował w swoim *Wychodźcu*.

— Okazuje się zatem— odpowiadam mu, że łagodny sceptycyzm to, bądź co bądź, jeszcze najlepsza z rzeczy ludzkich... nie wierzyć w nic, nawet we własne swoje zwątpienie... Wszelkie przekonanie jest głupie... jak papież.

23 listopada. Idziemy podziękować Micheletowi, któregośmy nigdy jeszcze nie widzieli, za pochlebne zdanie o nas, wtrącone do przedmowy dzieła jego p. t. *Regencya*.

Ulica Wschodnia; gdzie się kończy ogród Luksemburgski, stoi wielki dom z wyglądem mieszczańskim, prawie robotniczym. Jesteśmy na trzeciem piętrze; przed nami zwyczajne drzwi o jednem skrzydle. Służąca otwiera, melduje nas i wchodzimy do niewielkiego gabinetu.

Zmrok już zapada. W świetle lampy z przyciemnionym kloszem widać niewyraźnie meble, śród których mahoń miesza się z dziełami sztuki a które w półcieniu wyglądają jak urządzenie mieszczanina, nawykłego do wizyt urzędników taksacyjnych. Żona dziejopisa z twarzą zarazem poważną i młodą siedzi na krześle obok biurka, na którem stoi lampa; kobieta odwrócona plecami do okna, w postawie nieco sztywnej, przypominającej buchalterki w księgarniach protestanckich. Michelet siedzi w pośrodku kanapy krytej zielonym aksamitem, na której widać poduszki haftowane.

Wygląda on tak, jak i jego historya: niższe części w świetle, wyższe w pół-mroku; oblicze jest tylko jednym cieniem, okolonym śniegiem długich, białych włosów, cieniem, z którego wydobywa się głos profesorski, dźwięczny, płynny, śpiewny, nadymający się, że tak powiem; głos ten wznosi się i opada, zlewając się w jakiś poważne gruchanie.

Mówi z wielkiem uznaniem o naszem studyum o Watteau i przechodzi do historyi, tyle zajmującej, ale jeszcze nietkniętej, do historyi mebli francuzkich. Poczem szkicuje nam, jak gdyby w pogadance poetyckiej, mieszkanie w stylu włoskim z XII wieku i olbrzymie wschody pośrodku pałacu; dalej wielkie komnaty, wprowadzone po zniesieniu schodów, jak w hotelu Rambouillet; dalej styl Ludwika XIV niewygodny i surowy; następnie apartamenta wielkich dzierżawców, te istne cuda, co do których nie wie, czy je stworzyły pieniądze tych finansistów, czy też szczególny gust ówczesnych majstrów; wreszcie i nasze dzisiejsze mieszkanie, choćby najbardziej bogate, zawsze poważne, ogołocone z mebli, puste.

— Ach, panowie—wykrzykuje nagle, zapominając o meblach francuzkich, jest jedna historya, którą wy, jako obserwatorowie, powinnibyście napisać — mianowicie historya pokojówek... Nie mówię tu o pani de Maintenon, ale macie taką pannę de Launai... Macie także Julię księżnej de Gramont, która taki na swoją panię wpływ wywarła, zwłaszcza w znanej aferze Corse. Pani du Deffant mówi gdzieś, że dwie tylko osoby były do niej przywiązane: d'Alembert i jej garderobiana... O, to rzecz ciekawa i doniosła — udział służby w historyi... Służba męzka ma już dla niej mniej znaczenia...

Jakiś czas prawi o Ludwiku XV i epoce teraźniejszej. Ludwik XV—to człowiek inteligentny, ale zero, zupełne zero... Wielkie wypadki naszych czasów nie porywają już tak; one znikają całkiem... Przekopu Suezkiego nikt nie widzi, tunelów alpejskich nikt nie widzi... Cóż, że wynaleziono kolej żelazną? Przemknie lokomotywa, zostawi dymu trochę — i tak przez setki mil?.. Tak, tak, jakież to dzisiaj fakty wielkie, których wielkości się nie ogląda!“

cznemu, są niezdolni do przeprowadzenia wypowiedzianych idej i przyprawiają społeczeństwo o bezużyteczne zakłócenia. Wobec tego Lombroso zadaje pytanie, co począć z nimi, zwłaszcza w obecnej chwili, tak sprzyjającej ich powstawaniu—np. wykazuje we Włoszech jednego mattoida, profesora uniwersytetu, jednego senatora, trzech deputowanych itd. Ponieważ jednak są oni wytworem tegoczesnej swobody prawno-politycznej, otwierającej szerokie pole wylęganiu się różnych ambicyj i ambicyek, niepodobna przeto ich zniszczyć bez usunięcia i samych dobrodziejstw ze strony nowożytnych urządzeń. Idzie jedynie o możliwe zmniejszenie ich wpływów. Bagnetami się ich nie wytępi, lecz przez oczyszczenie bagniska społecznego, w którem się lęgną. Tak, we Włoszech jednym z powodów ich znaczenia, to wyjałowienie umysłowe i zapanowanie miernoty; w braku umysłów genialnych, protestujących przeciw nadużyciom, oklaski dostają mattoidzi, którzy jedni nie wahają się śmiało wypowiedzieć słowa prawdy. Środki zaradcze przeciw mattoidztwu nie wiele pomogą, póki im nie przeciwstawi się mężów potężnych. Należałoby też w tym celu usunąć od kierowania społeczeństwem ludzi, nieposiadających po temu żadnego przygotowania. Parlament w tej mierze jest instytucyą bardzo wadliwą, wyrokuje bowiem nawet o tem, o czem niema najmniejszego pojęcia. Oczywiście tej wady niepodobna usunąć bez unicestwienia parlamentaryzmu, co byłoby jeszcze szkodliwszem; można jednak ograniczyć tę wszechwiedzę zdawkową parlamentów za pomocą komitetów fachowych zdrowia, hygieny, rolnictwa itd. z prawem głosu nietylko doradczego, lecz i wykonawczego i z odpowiedzialnością za celowość rady; również byłoby bardzo pożądanem, ażeby teki ministeryalne, krom spraw wewnętrznych i zagranicznych, wyjęte zostały z pod namiętności politycznych przez powołanie wykształconych zawodowców. Zwłaszcza szkodliwymi są tegoczesne rządy w parlamencie i u steru władzy kliki adwokackiej, niebezpieczniejszej, niż dawna kapłańska, bo mniej uchwytnej; ona to ośmiela się wyrokować i o marynarce i o rolnictwie i zamiast istotnych reform znajduje na wszystko jeden sposób — zmianę formy prawa. Koniecznem jest także usunięcie formalizmu biurokratycznego, reforma w sądownictwie, zapewniająca prędkie ukończenie sprawy i znosząca potrzebę frymarczenia sumieniem ze strony adwokatów itd. Z drugiej zaś strony, podniesienie poziomu oświaty społecznej odjęłoby grunt pod nogami u mattoidów wskutek rozbudzenia krytycyzmu w ludności. W tym celu pożądaną byłaby reforma wykształcenia średniego, usuwająca dotychczasowe panowanie formy nad treścią; miejsce łaciny i greki zająć winny nauki przyrodnicze, statystyka, socyologia z dziejami rozwoju pojęć religijnych, hygiena, psychiatrya, antropologia, etnologia, nauka o pasorzytach itd., przekazywane obecnie uniwersytetom i wykładane tylko dla specyalistów. Należałoby następnie ograniczyć wpływ pojęć teozoficznych, które jeszcze mocno trzymają się w głowach atawistycznie ukształtowanych lub niemających dostępu do wiedzy; dużo tu pomogłoby rozerwanie hierarchii odpowiedniej przez nadanie gminom prawa wyboru swych duchownych oraz ich usuwania. Wreszcie rozszerzenie prawa wyborczego uprzystępniłoby niższym warstwom swobodne wypowiadanie żądań i odjęłoby mattoidom możność występowania w roli obrońców; zmniejszenie zaś ilości deputowanych ograniczyłoby gadulstwo parlamentarne. Wreszcie byłoby bardzo do życzenia włożenie obowiązkowego wykształcenia psychiatrycznego na urzędników śledczych, ażeby nie czynili męczenników z waryatów.

K.

PAŃSTWOWY USTRÓJ EUROPY I AMERYKI.

W literaturach zagranicznych wychodzą co czas pewien (w zmienianych i dopełnianych wydaniach) dzieła, przedstawiające obraz ustroju państw cywilizowanych, a służące ogółowi do poznania instytucyj i urządzeń, których on badać nie może i które ulegają ciągłemu rozwojowi. Takiem np. dziełem w literaturze francuskiej jest dwutomowa praca Demombynesa *Les constitutiones européennes.* Pojąć łatwo, że jeśli tego rodzaju książki są potrzebne społeczeństwom uorganizowanym konstytucyjnie, a więc uczestniczących bezpośrednio w maszynie państwowej, to ważność ich niezmiernie potęguje się dla nas, znających wiele instytucyj tylko ze słyszenia i bardzo niedokładnie. Zwykłemu czytelnikowi naszych gazet politycznych zdaje się, że on rozumie wszystkie ich artykuły i telegramy; tymczasem bywa bardzo wiele doniesień, wymagających znajomości ustroju państw, a przeto pojmowanych błędnie lub niepojmowanych wcale. Dla przykładu prób parę. Przypuśćmy — nadszedł z Pesztu telegram, że „stół wyższy“ odrzucił prawo akcyzy od nafty; skąd czytelnik polski będzie wiedział, co jest „stół wyższy“ w Węgrzech? Ale po co zapuszczać się w niezwykłości! Skąd on wiedzieć może, jakie prawa ma sejm prowincyonalny, co to jest pronunciamento, rada tajna (w Anglii) itd? Obecnie zasiada sejm finlandzki: ilu z czytelników gazet politycznych u nas zna jego atrybucye? Nawet wielu piszących artykuły pouczające ogół powtarza wyrazy i nazwy bez należytego ich pojmowania, a niejeden z nich zdziwiłby się niezawodnie, usłyszawszy, że Anglia właściwie nie ma ministrów w powszechnem znaczeniu tego słowa. Dzięki też licznym wątpliwościom, owa polityka, którą się tak wszyscy zajmujemy, jest dla większości bajką o żelaznym wilku.

Bajkę tę postanowiła oświetlić Spółka Nakładowa, wydając dzieło prof. A. Okolskiego: *Ustrój państw europejskich i Stanów Zjednoczonych Ameryki północnej.* Jest to jasny, systematyczny, szczegółowy, a jednocześnie treściwy wykład obecnych urządzeń państwowych Europy i Ameryki z krótkim wywodem historycznym ich powstania i rozwoju. Dzieło takie dać może każdemu wyczerpujące objaśnienie we wszystkich wątpliwościach wiedzy politycznej.

Ale nie na tem ogranicza się jego wartość. Jest ono pracą uczonego, profesora uniwersytetu, a więc stanowi nadto podręcznik dla młodzieży, kształcącej się w naukach państwowych. Nie jest to przecie robota rzemieślnicza lub amatorska, ale zdolnego i sumiennego specyalisty.

Literatura nasza dotąd nie posiadała takiej książki, mamy więc zapełniony brak, który nieraz dotkliwie odczuwać się dawał.

H.

GAWĘDY FILOZOFICZNE.

I.

Seignobos'a: *Connaissance en histoire.* — Dziejopisarstwo ze stanowiska logiki. — Z jakich zadań składa się badanie historyczne?— Jakim błędom otwiera pole? — Niektóre typy błędów. — Kanony główne dla dziejopisów.

Gdy się w piśmiennictwie przekładowem ukazała *Historya cywilizacyi* Ch. Seignobo-

---

Nastaje chwila zadumy i wreszcie Michelet zabiera znów głos:

— Przebiegłem kiedyś Anglię w jej części najszerszej, od Yorku do... Byłem w Halifax... Widziałem trotuary na wsi, trawę również starannie pielęgnowaną jak trotuary — a wzdłuż nich szły stada owiec... wszystko to przy świetle gazu. Doprawdy! osobliwe widowisko!

Znowu milczenie; poczem rozmowa ciągnie się dalej:

— Czyście panowie zauważyli, że dzisiaj ludzie znakomici nie mają już tak wyrazistych fizyognomij?.. Spójrzcie na ich portrety, ich fotografie... Nie masz już ładnych portretów... Ludzie wybitni przestali się wyróżniać... Balzac nie miał już wydatnej charakterystyki... Czybyście z portretu domyślili się Lamartine'a? Nic szczególnego w głowie, oczy przygasłe... została mu tylko wytwórczość figury, której wiek nie zatarł... Pochodzi to stąd, że jesteśmy nazbyt skupieni... Tak jest, nie ulega wątpliwości, że jesteśmy więcej skupieni, niż kiedykolwiek. Mamy w sobie wszyscy wiele z innych ludzi, a więc fizyognomie nasze, zawierając w sobie więcej cudzego, niż swego własnego, nie mogą mieć cech indywidualnych... Jesteśmy raczej wizerunkami jakiejś istoty zbiorowej, a nie samymi sobą...

I Michelet rozsnuwał podobne do tej idee szerokie przez jakie pół godziny.

Powstaliśmy, by go pożegnać; odprowadził nas do drzwi. Wówczas w świetle lampy, którą niósł przed sobą, ukazał się nam na sekundę w całości ten zadziwiający dziejopis— marzyciel, ten wielki lunatyk przeszłości, i oryginalny gawędziarz; i widzieliśmy, jak wązkim ruchem drugiej ręki zaciągał tużurek na brzuch i uśmiechał się, pokazując duże zęby trupa i dwoje jasnych oczu, stary człeczyna z miną małeńkiego kapitalisty, z policzkami muskanemi przez długie, białe włosy.

Rok 1864 — 21 marca. ...Mowa o pewnej kochance Sainte-Beuva, niejakiejś pani W..., co do której wierzył niezłomnie, że była hiszpanką, której rad i wskazówek zasięgał, ilekroć miał do czynienia z literaturą drugiej strony Pyreneów, która mu dawała objaśnienia w przedmiocie Calderona itd. itd. Utrwaliła go w przekonaniu, że jest rodowitą hiszpanką, po pierwsze tem, że go zapewniała, a powtóre, że nosiła sztylet u podwiązki. Na nieszczęście jednak umarła u niego — na suchoty — a z papierów okazało się, że pochodziła z Pikardyi.

Środa 1 lutego. Dziś wieczór, u księżnej obiad dla znakomitości literackich, pomiędzy którymi jest i Dumas ojciec.

Wygląda jak olbrzym; włosy negra, maleńkie oczy hipopotama, jasne, figlarne, czujne nawet gdy przymknięte, a na twarzy ogromnej rysy podobne do owych linij półkolistych, jakie karykaturzyści nadają zwykle ludzkim parodyom księżyca. Jest w nim, nie wiem dla czego, coś, co przypomina zarazem pokazywacza cudów i *commis voyageura* z *Tysiąca i jednej nocy.* Wymowa obfita, jakkolwiek mało błyskotliwa, wolna od uszczypliwości subtelnych umysłów, i kwiecistego języka; są to tylko same fakta, fakta ciekawe, fakta paradoksalne, które wydobywa głosem ochrypłym ze zdumiewającej swej pamięci. I wciąż, wciąż, wciąż mówi o sobie, lecz z próżnością dużego dziecka, która nie razi. Opowiada, naprzykład, że jeden artykuł jego o górze Karmel przyniósł duchowieństwu 700,000 franków.

...Nie pije wina, nie pije kawy, nie pali wcale: jest to wstrzemięźliwy atleta fejletonu i dziennikarskich rękopisów.

Ten, co przekopał międzymorze — Lesseps, z okiem czarnem pod srebrzącymi się włosami, obiaduje dzisiaj z nami. Wyznaje on, ten człowiek nieposkromionej woli, że w życiu swem od wielu rzeczy powstrzymanym był przez kabalarkę z ulicy Touron, następczynię panny Lenormand.

---

s'a—powitano ją z wielkiém uznaniem, głównie dlatego, że napisana przystępnie i krytycznie. Ze stanowiska czysto naukowego ostatnia zaleta jest bardzo ważną. Podnoszono zwłaszcza tę okoliczność, że autor opiera się na całkiem wiarogodnych powagach, jak Lubbock, Le Bon, Taine, Quatrefage, Max Müller, Schliemann, Curtius i inni; na najnowszych badaniach starożytnych: że nie okazuje bezwzględnego zaufania wszystkim przekazanym przez dzieje faktom i zwraca troskliwie uwagę, kiedy trzeba wierzyć a kiedy wątpić. Jest to nowość dla naszego ogółu, który dotąd znał świetne uogólnienia historyczne Drapera, słyszał o wielkich zarysach rozwoju u Lecky'ego, Letourneau'a i innych, ale mało miał sposobności przyjrzenia się pracom źródłowym. Kto jednak zgaduje, jak doniosłą jest potrzeba ściślejszej kontroli nad materyałem historycznym, z którego myśliciel snuje wnioski i prawa; kto pojmuje, ilu nadużyciom otwiera się pole w ocenianiu zamierzchłych podań i dokumentów, ten niechaj podąży na chwilę za mną i rozejrzy się w obszernem studyum tegoż samego Seignobos'a, pouczającem, jak należy badać dowody przeszłości, i jakie to błędy popełniają w tej mierze uczeni.

Jest to jak gdyby rewizya wszystkich procesów logicznych, które przebywa myśl historyka, wobec dokumentu. Historya należy do tego rodzaju umiejętności, które mają do czynienia ze zjawiskami, niepodlegającemi osobistemu, bezpośredniemu postrzeganiu, i przeto muszą je przy pomocy całego szeregu przesłanek, na nowo powoływać do życia, rekonstruować na zasadzie pomników materyalnych, ustnych tradycyi i innych śladów przebrzmiałego czynu lub wypadku. Nie posiada ona tych ułatwień, które ma przyrodoznawstwo. Naturalista bada wytwory przyrody i jej zjawiska *bezpośrednio*, historyk zaś obcować musi z czasami ubiegłymi i dla dojścia do istoty i autentycznej postaci faktu — odbywać drogę bardzo złożoną, błąkać się po manowcach, oryentować w sprzecznościach. Właściwie wszystkie gałęzie wiedzy, śledzące fakta z odległości czasu, a zatem wprost badaczowi nieprzystępne, stanowią, według Seignobos'a, żywioł historyczny, jeno praktyka wyosobniła z nich dzieje właściwe i im wyłącznie charakter historyi przyznała. Jest to pewnego rodzaju nieścisłość, albowiem w gruncie rzeczy wszystko, cokolwiek obserwujemy, należy do przeszłości. „Teraz" jest pojęciem bezwymiarowem, jak punkt w przestrzeni.

Pomiędzy dziejopisem a faktem nie ma łączności tak krótkiej i prostej, jak linia prosta, ale cała gmatwanina zygzaków, po których trafiać musi do prawdy. Ile w tym gościńcu zboczeń i zawrotów, tyle może się zdarzyć błędów i złudzeń. A jeśli nawet ścieżka prowadzi prosto, to i wtedy składać się musi z kilku okresów, z których każdy tworzy całkiem samoistny przedmiot dochodzenia i na swoją rękę wymaga od badacza sumienności, gruntowności, rozwagi i wszystkich warunków bezstronnego dociekania.

Lecz cóż to są za etapy? I czyż jest ich tak wiele?

Jeżeli zastanawiasz się nad *corpus delicti* historycznego wydarzenia, dajmy na to nad zwaliskami Kolosseum, piramidy lub świątyni greckiej — one dostatecznie przekonywają cię o samem istnieniu narodu i epoki, które je stworzyły. Do tego wystarcza bardzo pierwotna robota myśli. Ponieważ miasto w gruzach nie mogło być dziełem żywiołów, lecz rąk ludzkich, zatem istnieć musiała kultura, jego sprawczyni, istnieć musiała odnośna architektura itd. Są to zjawiska typowe, tak często i łatwo do wytłomaczenia, że co do nich trudno mylić się. Ale przejdź o krok dalej, do objawów mniej pospolitych, a wnet znajdziesz się wobec całego labiryntu wątpliwości. Oto np. schody w skale. Skąd zaczerpnąć pewności, że wykuła je dłoń człowiecza, skoro zdarza się że i natura sama czasami wyżłabia korytarze, stopnie i rozmaite dziwy, które łatwo poczytanemi być mogą za ślady, przytarte nieco, dawnej cywilizacyi? Toż fantastyczne kształty skał formacyi łupkowej nieraz bywają uważane przez naród za widownie legendowych scen i pomniki prastarych bohaterów. Jeszcze większą staje się chwiejność sądu o wypadku, który namacalnych i dotykalnych następstw po sobie nie zostawił, a przeszedł jeno do potomności drogą czystej pamięci, z ust do ust, z pokolenia w pokolenie i przez ten czas uległ nieobliczonym zmianom i ubarwieniom, albo też utrwalony został na piśmie. Otóż te właśnie zabytki piśmienne, będące tylko pewną odmianą tradycyi ustnej, dają pochop do najopaczniejszych komentarzy i wywodów; one są najbardziej typowym gatunkiem źródeł historycznych; one najwybitniejszą odgrywają rolę w historyografii, one wreszcie największej wymagają przezorności.

Tutaj owych etapów jest dużo. Oto główne z nich. Czy dokument jest prawdziwy, bo może być podrobionym? Czy należy tłomaczyć go dosłownie, bo przecież może składać się z alegoryj, przenośni, aluzyj, rozmyślnych zamaskowań? Czy autor jego był świadkiem opiewanych zdarzeń? Czy powtarzając i spisując słowa innych, brał je łatwowiernie, czy też sprawdzał doniesieniami z postronnych źródeł? Czy wierzył w to, co utrwalił rylcem lub piórem, i rządził się jedynie miłością prawdy? Gdyś już na te wszystkie pytania odpowiedział zadawalająco i nabrał przeświadczenia, że kronikarz działał w dobrej wierze — nie zrobiłeś jeszcze nic. Albowiem: mógł pisać w zaślepieniu, pod wpływem fanatyzmu religijnego, stronności partyjnej. Jeszcze więc nie masz pewności, że był widzem naocznym wypadku. A jeśli i tę pewność zdobędziesz, skąd wziąć dowód, że obserwował go przytomnie, wszechstronnie, przez całą jego trwałość, że nie posiadał zboczeń w funkcyach zmysłowych lub nerwowych anomalij, które mogły rzeczywistość w całkiem fałszywem przedstawić świetle. Np. fanatyczny inkwizytor w mniemaniu, że palenie na stosie heretyków jest zasługą wobec Boga, mógł liczbę swoich ofiar w aktach przesadzić. Wrażliwy uczestnik bitwy, choć świadek jej bezpośredni, bywa przecież najgorszym jej sprawozdawcą. Dosyć pomyśleć chwilę nad jedną z mniej wyświetlonych epok historyi, ażeby natrafić na całe stosy przykładów najprzeróżniejszych kłamstw, które w mało sceptycznych rocznikach brano za najczystszą prawdę.

Ale właściwie szereg podobnych kwestyj zaczyna się jeszcze znacznie wcześniej, zwłaszcza, gdy chodzi o zabytki cywilizacyj bardzo dawnych i rdzennie odmiennych od współczesnego nam świata. Gdzie system alfabetu i sposoby uzewnętrzniania myśli za pomocą znaków i symboli są od naszych różne, tam zjawia się potrzeba rozległych badań, a odczytywanie pisma wymaga wielkiej sztuki i połączone jest z tysiącem niebezpieczeństw błędu. Dla rozmaitych pojęć służyć może jeden wyraz — i na odwrót. Jeden i ten sam wizerunek oznaczać może w rozmaitych wypadkach i kombinacyach rozmaite przedmioty. A gdy się zważy, że dokumentów zupełnych, nieuszkodzonych przez czas — prawie niema wcale, wypadnie, iż sfera zabytków dziejowych jest gruntem nad wszelki opis chwiejnym i niepewnym, że na wnioskach i przypuszczeniach, wspartych jakimi takimi dowodami, potrzeba najczęściej klecić całe gmachy domysłów, łatających niezliczone szczerby i wiszących całkiem w powietrzu.

Jak sobie radzi umysł w tylu tarapatach? Wzywa do pomocy różne formy logiczne, jak analogia, sprawdzanie, zgodność opinii kilku sędziów, indukcya itp. Stosowanie każdej z nich natrętcza z osobna bardzo ciekawą kazuistykę. Tak np. historycy lubią powoływać liczbę głosów, oświadczających się za danym faktem, wskazując iż całe miasto lub gmina były świadkiem jego. Zapominają jednak, że powtórzenie tezy przez kilkoro ust w niczem jej nie umacnia, osobliwie wtedy, gdy wszyscy zostają pod wpływem jednego nastroju, jednego wrażenia, i że w takich razach jedynie świadectwa ludzi z różnych miejsc, różnych stanów i poziomów duchowych mogą mieć jakąkolwiek wartość dowodową.

Jednym z największych grzechów w dziejopisarstwie jest nadmierna skwapliwość w uogólnianiu pojedynczych zjawisk. Wiadomo, że sprawę świętych piętn u religijnych obłąkańców niedawno zaliczano do pustych wymysłów zabobonu; nowsze jednak odkrycia psychopatologiczne wskrzesiły wiarę w możność wywołania krwawych znamion.

Historyk zazwyczaj rozumuje w ten sposób: Taki i taki czyn wywołać musi takie a takie następstwa; tymczasem jest to zasada zwodnicza. Powinien on bowiem zbadać szczegółowo indywidualne warunki czynu, poznać całą psychologię jego sprawcy. W podbojach Napoleona I mnóstwo było chwil bezprzykładnego bohaterstwa, a w początkach nawet — humanizmu, więc go powitano jak oswobodziciela uciśnionych ludów. Ci atoli, co go znali bliżej, choć przed geniuszem chylili czoła, nie oczekiwali zbawienia, albowiem dla nich jasnem było, że to tylko prolog do walki z całym światem, a więc i z całem uczuciem człowieczeństwa, z godnością istoty ludzkiej. Do dziś jeszcze przetrwało złudzenie, że gdyby nie klęski niespodziane, Europa ujrzałaby w nim swojego Waszyngtona, bo obdarzenie krajów zachodnich konstytucyą, wyzwolenie tu i owdzie chłopów z poddaństwa, *musiałoby* za sobą pociągnąć rozpętanie wszystkiego, co żyło w niewoli.

Nadużyłbym twojej cierpliwości, gdybym chciał za Seignobosem wglądać we wszystkie kategorye historycznych naciągań i bąków; jeśliś czuły na łatwowierność, dośpiewasz sobie w duszy resztę i pojmiesz, jaka przepaść oddziela: musi barwne obrazy dziejowe w książkach od przeszłości realnej, której stanowić mają odzwierciedlenie.

Prócz mnóstwa prawideł szczególnych, przewidujących pojedyncze zawiłości, jest pewna liczba reguł ogólnych, któremi rządzić się powinien każdy badacz minionych epok. Oto niektóre z nich:

Należy pamiętać, że wszelkie dociekanie historyczne przy pomocy zabytków oderwanych, tj. mowy ludzkiej lub pisma—jest szeregiem zadań *psychologicznych*; a zatem trudniejszych do rozwiązania, niż problemy, dające się rozstrzygnąć z pomocą cyfr, danych matematycznych lub bezpośredniego postrzegania.

Fakty dziejowe są *indywidualne*, czyli że właściwe im są cechy osobiste miejsca, czasu, osób działających, okoliczności towarzyszących. Dwie rewolucye, z których jedna zdarzyła się w Grecyi, a druga w Rzymie, nie są dwoma okazami jednego zjawiska, ale tworzą dwa całkiem samodzielne zdarzenia. Odrzućmy ich datę, imiona agitatorów, arenę — a przestaną wnet nadawać się do historyi. W innych dziedzinach tego nie napotykasz. Błyskawica dzisiejsza i zeszłoroczna *dla przyrodnika* niczem się nie różnią. *Kronika* wystrzałów, wybuchów gazów podziemnych, wulkanicznych wstrząśnień, reakcyj chemicznych, deszczów lub upałów — albo niema wcale sensu, albo służy za podstawę doświadczalną do wysnuwania praw, a sama przez się *celem* być nie może. Tu mowa jest tylko o faktach-typach, nie o faktach-jednostkach, jak w historyi. Z tej to indywidualności zdarzeń, zajmujących nasz zmysł historyczny, wypływa ich złożoność i niesłychanie mała podatność do pewnej, bezwarunkowo wiernej fotografii. Z niej też wynika dla dziejopisa obowiązek liczenia się ze wszystkiem, co fakt jeden od drugiego odróżnia, co jego atmosferę znamionuje.

Ponieważ autentyczność wielu wypadków można sprawdzić wprost na zasadzie danych zaczerpniętych z innych nauk, przeto historyk winien być jako tako z niemi obznajmionym, czyli inaczej: powinien być wykształcony wszechstronnie. Zupełny profan w przyrodoznawstwie mógłby np. uwierzyć w wielkiego węża morskiego, który podług Wirgiliusza zdusił Laokoona z rozkazu Junony, za jego nieufność do drewnianego konia greków. Kiepski filozof uwierzy we wszystkie kościelno-historyczne brednie na temat djabłów, czarów i cudów, któremi roi się teologia, egzegeza Pisma Świętego i wszystkie wogóle mitologie, zarówno dawne jak i nowe.

Ostatecznie pierwotnem stanowiskiem dziejopisa wobec materyału historycznego musi być *niewiara*; z tego punktu powinien wychodzić, czyniąc na rzecz wiary jedynie skromne ustępstwa. W praktyce bywa wprost odwrotnie. Każdy wybiera stosunek łatwiejszy — wiarę, bo i dlaczegóż ludziom nie wierzyć? a *dla sceptycyzmu* czyni ustępstwa. Jednak grzeszy on wtedy ciężko przeciw ścisłej logice. Albowiem gdy zważysz wszystko, co powiedziano wyżej, stanie ci się jasnem, że dokumentów niepodejrzanych *prawie niema wcale*, a zatem szansa bezwzględnej prawdy historycznej jest *prawie żadna*. Historyografia nowsza zrozumiała ten pewnik lepiej nieco, bo aż wpadła w drugą względem dawnej łatwowierności ostateczność i do tyla podniosła cenę źródeł, rozbioru krytycznego dokumentów, że po prostu lekceważy sobie studya, nieoparte bezpośredniem sprawdzeniem dowodów, albo przynajmniej imionami znanych nauce powag. Jest to przecież mały tylko krok naprzód i niepodobna brać go za jedno z tem wszystkiem, co wobec pomienionych w krótkości postulatów czynić historykowi należy.

O potrzebie krytycznego rozbioru materyałów dziejowych mówi także Bain w swej *Logice*. On jeden zresztą dotąd szerzej nieco uwzględnił zastosowanie logiki w historyi. Jak widzisz, Seignobos poszedł o wiele dalej i zdaje mi się, że przeczytanie jedynej w swoim rodzaju pracy jego (*Revue philosophique* — lipiec i sierpień), przynieść może pożytek niemały każdemu historykowi, historyozofowi, biografowi, archeologowi, słowem wszystkim, co pracują pod egidą muzy przeszłości. Znajdą tam w systemacie to, co pospolicie snuje się po głowie urywanymi błyskami; uświadomią sobie zasady, zazwyczaj tylko instynktownie wyznawane lub nawet niewyznawane wcale.

N. Hirszband.

LITERATURA I SZTUKA.

LITERATURA FRANCUSKA.

Zadanie krytyki literackiej. — Zdanie o niej Guy de Maupassanta. — Czem jest właściwie realizm?—Protest przeciwko niewolniczemu trzymaniu się rzeczywistości. — *Iluzyonizm*.

We wstępie do najnowszej swej powieści, *Pierre et Jean*, Guy de Maupassant wypowiedział, o ile wiem, po raz pierwszy ciekawe swe uwagi o krytyce literackiej.

Uwagi te grzeszą dyletantyzmem — dobry powieściopisarz jest zwykle lichym krytykiem — mają jednak wartość spostrzeżeń, wypowiedzianych przez autora utworów, będących przedmiotem ocenian.

Krytyka literacka, bądź to jako gałąź estetyki stosowanej, bądź jako odłam publicystyki, musi mieć swe zasady, swą miarę właściwą, idee wytyczne. Tylko wtedy może być tem, czem być powinna: nauką, czy umiejętnością, oceniającą utwory literackie, wykrywającą pewne wspólne właściwości danej ich grupy, tłomaczącą warunki, w jakich się tworzą dzieła sztuki i wykreślającą im pewne kierunki.

Słowem — winna ona mieć swą teoryę. Że teorya ta stawia czasem zasady abstrakcyjne i wymagania, bądź z natury swej jednostronne, bądź niepełne — to rzecz inna. Taką mianowicie wiązkę zasad i bodaj dogmatów wystawiła szkoła krytyczna, której mistrzem był Taine. Kazała ona życie odtwarzać takiem, jakiem jest — fotografować je nieledwie. Wprawdzie Taine wyłożył to nie w tak gruby sposób, ubrał w teoryę i porobił zastrzeżenia — hasło jednak brzmiało: prawda i tylko prawda, naga prawda, bez żadnych względów i ograniczeń. Pod wpływem tego nawoływania, czy też równolegle z nim, wytworzyła się we Francyi szkoła naturalistyczna, której zalety i wady wypływają z tego właśnie nakazu kategorycznego.

Posłuchajmy jednak, co powiada o nim jeden z najmłodszych i najwybitniejszych przedstawicieli francuskiego naturalistycznego realizmu.

Przedewszystkiem atoli zapytuje Guy de Maupassant, co powinno charakteryzować krytyka?

„Winien on bez żadnego uprzedzenia, bez żadnej zgóry powziętej myśli, bez żadnych wyobrażeń (?) o sztuce, bez przywiązania się do jakiejkolwiekbądź grupy artystów — pojmować, rozróżniać i tłomaczyć dążności najbardziej przeciwległe, temperamenty najbardziej sprzeczne i zgodzić się na poszukiwania sztuki w kierunkach najrozmaitszych...“

Na ostatnie zgoda, gdyby jednak ktoś uwikłał się w owe wielorakie tłomaczenia, bez żadnej przewodniej myśli, bez żadnej nici Aryadny — zbłąkałby się w labiryncie sztuki, przestałby być krytykiem. Tego jednak zdaje się żądać odeń autor *Piotra i Jana*. Słyszeliśmy atoli, czem krytyk być powinien. Posłuchajmy teraz, czego, zdaniem Guy de Maupassanta, czynić nie powinien. „Nie powinien oceniać rezultatów inaczej, jak tylko według natury usiłowań i nie powinien nigdy troszczyć się o tendencye...“

Ale oto proces, jaki wytacza Guy de Maupassant krytyce realistycznej:

Powiadają nam: odtwarzajcie prawdę i tylko prawdę, rzeczywistość. Stając atoli na stanowisku samych realistów, należy poddać w wątpliwość i zaprzeczyć samej ich teoryi, która zdaje się streszczać w tych słowach: „nic tylko prawda i cała prawda!“ Zadaniem jednak artystów jest wydobywać filozofię z pewnych faktów stałych i powtarzających się, wskutek czego muszą oni często poprawiać fakty i wydarzenia, na korzyść prawdopodobieństwa i przeciwko prawdzie.

Prawda bowiem bywa czasami nieprawdopodobną.

Rzeczywistości, jeżeli ona istnieje, artysta szukać będzie nie w banalnem fotografowaniu życia, lecz postara się dać nam jego obraz bardziej pełny, bardziej uderzający, bardziej prawdziwy, niż sama rzeczywistość...

Opowiedzieć wszystko byłoby niemożliwością, trzebaby bowiem co najmniej tomu na każdy dzień, ażeby wyszczególnić mnóstwo nieznacznych wydarzeń, które wypełniają nasze istnienie. Wybór więc sam się narzuca — jest to zaś już pierwszy wyłom w teoryi całej prawdy... Życie przytem składa się z rzeczy najrozmaitszych, najbardziej nieprzewidzianych, najbardziej sprzecznych, najbardziej zmiennych: jest ono brutalnem, bez związku i logicznego następstwa, pełnem wypadków niewytłomaczonych, nielogicznych i sprzecznych, które winny być zaliczone do rubryki rozmaitości.

Oto, dlaczego artysta — powiada autor— obrawszy sobie temat, weźmie z tego życia, zawalonego przypadkami i drobiazgami tylko szczegóły znamienne, przydatne do swego przedmiotu, odrzuci zaś wszystko pozostałe, wszystko uboczne...

Odtwarzać prawdę, znaczy więc — wnioskuje Guy de Maupassant — dawać zupełne jej złudzenie, według zwykłej logiki wypadków, nie zaś oddawać niewolniczo, bez wyboru to, co się nawija pod pióro. Wnoszę tedy, że utalentowani realiści winni się raczej nazywać *iluzyonistami*.

Otóż wynik niespodziewany, a jednak zupełnie logiczny, wypowiedziany przez najbardziej może utalentowanego realistę.

I w istocie, wołanie o prawdę, rzeczywistość miało inne w gruncie znaczenie, niż literalny dźwięk samych słów wskazywał. Chodziło o wytworzenie reakcyi przeciwko dawnym kierunkom, o zwrócenie literatury ku pewnym tematom, ku pewnym stronom życia, ku pewnym typom; chodziło o odrębny i bardziej szczery sposób odtwarzania rzeczywistości. Nie o fotografię! Kto hasło brał literalnie — był naiwnym. Naiwnych jednak było wielu. Kiedy literatura poszła właściwą sobie drogą, krytyczni zaś epigonowie, wyuczywszy się na pamięć krytycznego katechizmu, zaczęli uparcie powtarzać frazesy, których ukrytego znaczenia rozumieć przestali — stali się śmiesznymi. Literatura naturalistyczna wyrobiła sobie odrębny zupełnie charakter — niewolnicza wierność rzeczywistości nie jest jednak jej cechą znamienną. Sam Zola, główny przedstawiciel naturalizmu, jest zazwyczaj słabym nader realistą, w znaczeniu, jakie zwykle przywiązujemy do tego wyrazu. Porównywano już jego utwory do homerowskich epopei i baśni. Bo też ludzie jego nie są ludźmi, lecz typami, powiększonymi często do rozmiaru olbrzymów. Rzeczy martwe ożywia on zazwyczaj i uosabia...

Niewolnicza wierność rzeczywistości nie jest cechą naturalizmu — umiał on jednak tej rzeczywistości lepiej zajrzeć w oczy, odsłonić niektóre jej tajemnice, wniósł nawet pewne tendencye, podniósł pewne kwestye społeczne. Wszystko to jednak nie leżało istotnie w założeniu doktryny.

Doktryna była prostą, jasną, zrozumiałą i dostępną — była jednak zbyt już prostą i... naiwną. Ci, co wzięli ją *à la lettre*, nie znaleźli w niej szerszych wskazówek, a sami ich odnaleźć nie umieli — zbłądzili i wprowadzili naturalizm w błoto, z którego się dziś wygrzebać nie może. Nie narodziła się też naturalistyczna krytyka, coby mu z tego bagniska wyjść pozwoliła.

„Co za dziecińczęsto — mówi wreszcie Guy de Maupassant — wierzyć w rzeczywistość, ponieważ nosimy ją w własnej naszej myśli i w naszych organach!“

Bądź co bądź, odezwanie się Guy de Maupassanta jest charakterystycznem. Stanowi ono protest przeciwko doktrynie ogłupiającego trzymania się oburącz ślepej rzeczywistości. „Iluzyonizm“ zdaje się domagać wniesienia do owej rzeczywistości: idei, zasad, tendencyj, iluzyj, idealizmu.

Edward Przewóski.

NOWE KSIĄŻKI.

M. Dubiecki *Historya literatury polskiej* na tle dziejów skreślona. Warszawa, Orgelbrand.

Dotąd wydano zeszytów dwa, w których wykład przedmiotu dociera do wieku XVI; o wartości tej książki z jej zaczęcia sądzić jeszcze nie można. Zaznaczymy więc tylko, że autor poprzedniemi pracami (dotyczącemi historyi) wykazał zdolność pisania podręczników.

J. I. Kraszewski, *Wizerunki książąt i królów polskich*, z rycinami Pilatiego. Warszawa, Gebethner i Wolff.

Miła pamiątka po nieodżałowanym pisarzu, który jak gdyby z trumny wyciąga rękę i daje literaturze owoce swej niezmordowanej pracy. Tej ostatniej ukazał się dopiero zeszyt pierwszy. Jest to kronika ważniejszych wypadków z życia

królów i książąt polskich, przedstawiająca raczej materyał surowy, niż obrobiony.

E. Strasburgier, *Krótki przewodnik do zajęć z botaniki mikroskopowej* (wydanie z zapomogi Kasy Mianowskiego). Warszawa, Wende, str. 367.

Książką tą, jak nadmienililiśmy poprzednio, redakcya *Wszechświata* rozpoczęła wydawanie podręczników przyrodoznawczych. Sam autor tak określa zadanie swego podręcznika: „Jest on poświęcony tym, którzy, nie mając zamiaru zostania botanikami fachowymi, pragną zapoznać się z zasadami botaniki naukowej. Jednocześnie książka dla początkującego jest przewodnikiem w technice mikroskopowej.“

M. Weryho, *Nasi przyjaciele*, książka przeznaczona dla dzieci od lat 7 do 10. Warszawa, str. 288.

Autorka opowiada szereg powiastek z życia ludzkiego i zwierzęcego a przytem daje próby rozbioru ich dla uświadomienia dzieciom rzeczy ważniejszych. W utworkach tych jest dużo rozsądku, dobrych chęci i znajomości małych czytelników, ale pomysłowość niebogata. Jest to wszakże jedna z lepszych tego rodzaju książeczek, szkoda tylko, że przemawia językiem niedość poprawnym (osiągła, oczka jeża itp.)

S. Korman *Volapük*. Lwów, str. 15.

W broszurce tej autor wykazuje użyteczność języka wszechświatowego, którą i my w *Prawdzie* szczegółowo objaśnialiśmy. Nie podniósł jednak ujemnych stron pomysłu Schleyera, które są bardzo znaczne i przeszkadzają upowszechnieniu się volapüku zwłaszcza śród narodów słowiańskich.

Dr E. Przewóski *W. Brodowski*. Warszawa, str. 20.

Z powodu dwudziestopięciolecia służby profesorskiej znakomitego anatomo-patologa, autor skreślił obraz jego działalności naukowej wyczerpująco i sympatycznie.

TEATR.

Michał Wołowski i Józef Kotarbiński: *Nie wypada*, komedya w 5 aktach.

Udatnym było pomysłem ze strony nowej spółki literackiej, że osnuła swą sztukę na stosunkach galicyjskich. Powtórzyli wprawdzie tło dużo razy malowane przez Bałuckiego, Blizińskiego, Lubowskiego, wszystkich zresztą komedyopisarzów, znających „Galicyę i Głodomoryę“ — ale uśpili czujność naszej miejscowej śmietanki, ktora w innym razie chyba nie pozwoliłaby trąbić ze sceny takich oburzających herezyj.

Nie wypada jest bowiem śmiałem odbiciem etyki dobrego towarzystwa, któremu w dodatku figlarny los zapewnił bliższy udział w życiu publicznem i tem rozszerzył pole „konwencyonalnych kłamstw.“ Widać tam różne ofiary i rozmaite przejawy formułki przyzwoitych pozorów. Matrona kopie dołki pod własnym synem — naturalnym; ojca jego, a zatem swego niegdyś kochanka, każe zapędzić w nędzę, żeby się stał nieszkodliwym i bezbronnym; a na samą myśl wydania swej synowicy za pierwszego z nich — szaleje i gotowa radzić się choćby Katarzyny Medycyjskiej, jakich ma użyć środków dla zabezpieczenia się od możliwych niemiłych dla niej odkryć.

Przedstawiciel prawego centrum kocha się na zabój w rozsądnej i pełnej charakteru dziewczynie i jest przez nią kochanym; nie ma jednak odwagi rozwieść się z swą połowicą, cyniczną szafarką swoich wdzięków, zmieniającą kochanków jak „chustki od nosa“ — gdyż boi się skandalu itd. Obawa podrażnienia t. z. opinii przenika tu wszystko i wszystkich, nawet rubasznych i głupich wyborców; nawet typ szczerego i poczciwego szlachcica, któremu wmawiają, że dla pozorów i szczęścia córki musi zostać posłem. Jest to słowem „sfera,“ jak pewien satyryk dobrze się wyraził *umiarkowania i punktualności*, czyli to, co nas dławi, męczy, skarla; ów złowrogi duch kliki i przesądów, straszliwy u nas, okrutny i kretynowaty w Galicyi. Jest to ów wabny płaszczyk, pod którym kryją się podłości, szalbierstwa, komizmy, ohydna Meduza, na której widok nawet odważniejsi od Wergiliusza mogliby skamienieć.

Autorowie z prawdziwą odwagą zajrzeli potworowi w oczy. Ale niestety ma on dwie twarze: zabawną i dramatyczną, a nawet w ostatecznych dla kraju wynikach — tragiczną. Którą portretować? Obie naraz! Zlać na wzór francuski żywioł śmieszny i posępny w jedno. I wychodzi znany dziwoląg; sztuka wskróś tendencyjna, pełna scen wyciskających łzy śmiechu i pełna sytuacyj, wyciskających czułym łzy płaczu. Morał leży wszędzie na wierzchu, wypowiadany w długich tyradach i to nie przez jednego, ale przez dwu, a nawet więcej: bo i głównego bohatera Lidzkiego i Trzaskę i Powsińskiego. Pan Kotarbiński jak gdyby zrzucił z siebie z półtora krzyżyka — z takim zapałem i deklamacyą przeprowadza swą filipikę przeciw zaskorupiałym w uprzedzeniach ślimakom. Pohulał sobie też, oj pohulał! Zdawna widać nagromadzone oburzenie wylał teraz potokiem śmiałych frazesów. Stąd komedyę ożywia jakiś duch młodzieńczy bardzo, doktrynerski jeszcze. Wprawdzie rzecznicy jego nie stoją przed budką suflera i nie prawią kazań publiczności, zmuszając ją do zakrywania rozziewanych ust — ale, co na jedno prawie wychodzi, przemawiają do wyborców, z których dwaj wyglądają na nieletnich, trzej są faktycznymi idyotami — a nie pozostaje nikt, coby mógł natchnąć krasomówczą swadą. Przed taką hałastrą, nawet nie tak liczną i pokaźną jak zgraja łobuzów, zebranych przed noworoczną wystawą sklepu — rzucać oratorskie szermele, jest to rozsypywać paciorki przed kwiczącą a ryjami zbrojną trzodą. Punkt ciężkości całego *Nie wypada* spoczął w tej przemowie kandydata do krzesła poselskiego i wywołuje niezamierzony bynajmniej efekt humorystyczny, tem bardziej, że składa się ona z haseł idealnych, ujętych w styl utoczony, w język kwiecisty, a mimo to brzmiący jakąś nieokreśloną pustką, jak gdyby ktoś walił np. w bęben ze złota. To wszystko nie wadziłoby zresztą, gdyby nie stanowiło skwapliwie chwytanej przez rozmaitych kretów broni, gdyby nie dawało im pohopu do domorosłej socyologii, którą aż Bolesław Prus, to istne *cor cordium* warszawskich literatów, strofować musi cyframi statystyki i szeptać po cichutku: *ne sutor ultra crepidam*!

W przewidywaniu takich skutków autorowie winni byli oszczędzić nie tyle już słuchaczom, ile sobie samym wszystkich peror, które jak w bajkach Lafontaine'a i Krasickiego, niepotrzebnie objaśniają treść w tak zwanym sensie moralnym; odebraliby tem swej komedyi bardzo niemiłą cechę: *dydaktyczność*. To jedno.

Gdyby byli powściągliwi w częstowaniu ckliwością — uwolniliby sztukę od drugiego bąka: *Nie wypada* — to niekiedy *melodramat społeczny*, jak zazwyczaj bywają etyczne. Gra na strunach tłumów, ilekroć każe bezimiennemu ojcu rozrzewniać się nad szlachetnością nieprawego syna, wiewa w obu dziwną czułość wzajemną i miękość, zanim jeszcze nić ich wiążąca została ujawniona. Po co te wszystkie instynktowne przeczucia? Ci panowie z krzeseł, co się odwracają manifestacyjnie do sceny lepszemi swemi połowami — na takie połechtanki nie łapią się, a wyższe piętra z góry już szykują życzliwe dłonie do oklasku.

Jest to tem dziwniejsze, że rozwój akcyi przesnuty został z wielką konsekwencyą, z prawdziwą godnością satyry, która nie cofa się przed końcem, nagle, bylo tylko przed spadnięciem kurtyny zabiclała jakaś sukienka ślubna oczom widzów. I tu, jak w *My się kochamy*, robota podziemna zrobiła swoje, zniweczyła cudze szczęście, dała tryumf intrydze i głupocie. Powsiński, choć wyszydzony w gazecie, przyjął wreszcie mandat, a przedstawiciel postępu go stracił; zwolennik *centrum* upragnionej panny nie dostał, wzgardzony przez nią dla małoduszności swej; obiecano Lidzkiemu dziewczę pod namową ciotuni zgodnie z wiatrem odwróciło się od niego. Feuillet umie w *Pokusie* z panny płochej i pustej, lgnącej jedynie do salonowych fircyków, zrobić na zawołanie wielbicielkę człowieka uczciwego, lecz niemłodego, nieładnego i wogóle niepozornego. W naszej komedyi nie spoliczkowano w ten sposób prawdy: uszanowano ją, utrzymano rozwagę. Na całej linii bojowej rycerstwo mroku wzięło górę, więc czujemy przynajmniej, żeśmy u siebie i w czasach najnowszych, że rozgrywa się przed nami niekłamana arena życia.

Do tego przyczynia się wielce — znaczna rozmaitość postaci i ich duża świeżość. Jest ich aż kilkanaście — ale każda ma swój indywidualny komizm lub tragizm. To medale najnowszego stempla, z wielką oczywiście pracą wycyzelowane. Powsiński, szlachcic prosty, uczciwy, wesoły, (p. Ostrowski); jego siostra, rożyserka główna łajdactw, najżarliwszy stróż wszelkich „nie wypada,“ choć matka Lidzkiego (p. Niewiarowska); niepochwytny co do swych przekonań centralista (p. Prażmowski); gorąca i bezwstydna żona jego (p. Lüde); łotr-blagier-fanfaron-dziennikarz (p. Wolski); sejmikowy krzykacz i tchórz (p. Szymanowski); ojciec bohatera i tajemny jego dobroczyńca, sterany i złamany pracą i niedolą a szlachetny (p. Ładnowski); gminny opój na zebraniach wyborczych (p. Grzywiński); przedmiot westchnień kandydata centrum (panna Noiret) i wreszcie gęś, na której się sparzył Lidzki (p. Czaki); wylizany na arlekina hrabia (p. Nowicki), są sylwetkami udatnemi, pełnemi żywotności, którą zwiększa niezwykle harmonijna i wyborna gra wszystkich artystów, szczególniej samego współautora, pp. Ostrowskiego, Wolskiego i Szymanowskiego. Ten jednak ma rolę szarżowaną mocno. Nawet p. Noiret pozbyła się rażącej śpiewności. P. Lüde grała wybornie.

Podobno praktykują się przeróbki. Gdyby moje skromne zdanie miało jakiekolwiek znaczenie — byłbym za wyrzuceniem melodramatycznej przesady w pierwiastku łzawym i naciąganej humorystyki wyborców. Powaga sztuki zyskałaby na tem. A gdy już udało się wtoczyć na scenę temat jędrny, nie nowy, ale niewytarty, a dla pewnych społeczeństw palący, z wielkiem życiem zobrazowany, niechże nie idzie tak prędko w rupiecie. *Cezary Jel.*

Widowisko na korzyść p. Tatarkiewicza.

Reżyserowi dramatu i komedyi w teatrze naszym za 25 lat pracy aktorskiej wyprawiono ucztę... dochodową. Urządzone dlań widowisko, jak wszystkie tego celu i charakteru koncertowe przedstawienia, było bigosem artystycznym, złożonym z kawałków rozmaitego rodzaju, bawiącym i zajmującym publiczność, ale niewymagającym poważnej oceny. Zamiast niej należałoby może zastanowić się, do jakiego uznania ma prawo jubilat. Ale myśl dolania bodaj kilkudziesięciu kropel do tego oceanu filozofii teatralnej, która zalewa kolumny pism warszawskich, wprost nas przeraża. Powiemy tylko ogólnie, że p. Tatarkiewicz więcej zasłużył się jako aktor, niż jako reżyser. W pierwszym charakterze stworzył szereg ról odegranych znakomicie, w drugim — wystawiał sztuki, które mu do rąk wkładano, lub które z zagranicy opatentowane przybywały, ale reżyserem wielkiej miary nigdy nie był i nowych dróg w repertoarze nie torował.

POEZYA.

Z NOCY.

. . . Samotny wśród nocy,
Schyloną głowę cisnąc w dłoniach obu,
Siedzę zgnębienia pełen i niemocy,
Bo widzę otchłań olbrzymiego grobu,
Którego czeluść ciemna i głęboka
Wciąż szerzej zieje niby paszcza smoka.

Na grobu tego spadzistej krawędzi
W milczeniu rzesze posępne się kupią;
Nieubłagane jakieś fatum pędzi
Ten tłum bez woli, siły, bierny trupio;
Liść suchy, co go wiatr porywa z boru,
Mniej się poddaje — więcej ma oporu.

Oto na skraju stanęli mogiły
I osłupiali patrzą do jej głębi;
Już z pod nóg ziemi staczają się bryły
I chłód mogilny powiał — i krew ziębi,
Czyż się nie cofną przed przepaścią zdradną
I w jej otchłaniach na wieki zapadną?

Przebóg!.. spadają!.. Niewstrzymaną [falą
Lecą już owi, co na tłumów przodzie,
Jako wodospad w tę przepaść się walą
Pierwsi w kościele i pierwsi w narodzie,
Z nimi ich mitry, buławy, pieczęcie
I przywileje toczą się w zamęcie.

Biada nam, biada!.. W żalu i rozpaczy
Jękiem i łkaniem kłócę nocną ciszę...
Biada nam!... Nagle — czy mi się majaczy?
Widzę cień jakiś i głos jakiś słyszę,
Głos, który szepce też do mego ucha:
— Nie targaj myśli, nie udręczaj ducha!

Ażali drzewo, które kwitnie latem,
Zginie — gdy zimą opadnie zeń kwiecie?
Szlachectwo było społeczeństwa kwiatem,
Kwiecie to zwiędło i wiatr je rozmiecie:
Umierającym należą się groby!..
Drzewo żyć będzie—choć bez swej ozdoby...

Zrzuć trwogę z serca — bo do tej mo- [giły
Stoczą się tylko najpierwsze szeregi,
Spadną jak owoc robaczywy, zgniły
I dół się nimi wypełni po brzegi,
Wtedy przez przepaść — jak po równym [torze
Ty resztę ludu przeprowadzisz, Boże.

I ożywiona twoim duchem, Panie,
Pójdzie ta rzesza prostą drogą dalej,
Pójdzie na jasnej zorzy powitanie,
Co się po za tą czarną chmurą pali,
Aż się jej promień przedrze przez tę chmurę
I szare tłumy odzieje w purpurę...

Włodzimierz Wysocki.

FEJLETON.

LIBERUM VETO.

Dumania nad karnawałem.— Wątpliwości co do jego charakteru. — Podgalanie czupryn i pomyślny wniosek. — Jakiego rodzaju jest bóstwo karnawałowe. — Gody w niebie.— Próba obrony nowych świętych.— Przyszła kanonizacya na naszą korzyść.—Jeszcze raz wynicowana praca organiczna. — Niewygasły ród *izmów*.—Tajemnicze związanie przyczyny i skutku.— Potrzeba głębszej analizy.

Pomimo najściślejszych badań nie mogłem dotąd wywnioskować, czy reporterzy naszych pism radują się, czy boleją nad karnawałem tegorocznym, czy on jest bardzo, czy nie bardzo ożywionym. Czytam bowiem kolejno i żałosne westchnienia, i okrzyki wesela, i dowody, że bawimy się mniej, i opisy balów trwających całą dobę. Zbadanie tej sprawy jest mi potrzebne z trzech względów: naprzód dla zdobycia wiarogodnej nowiny i objaśnienia prowincyi, w jakim kierunku ma naśladować Warszawę; powtóre dla sprawdzenia ciągłości tradycyi, o co w tym wypadku dbam szczególnie; a potrzecie dla wymierzenia stanu naszej zamożności. Jeżeli tedy przyjmiecie mój domysł (przy którym, wyznaję, nie mogę, jak Prus, powiedzić z dumą: otwórzmy statystykę), to karnawał jest niezły, tradycya podtrzymana a zamożność niepoderwana. Jeszcze nas stać na bale, jeszcze nam starczy ochoty do „białych mazurów.“

To dobrze. Nieraz bowiem napadają nas czarne myśli, gotowi jesteśmy przypuszczać, że w każdym drzewku rośnie dla nas kij żebraczy, że pracujemy do wspólki z losem nad podgalaniem naszych czupryn, z których już zaledwie tyle zostało, ile potrzeba, ażeby papieski „Rybitw“ miał nas za co uchwycić i na swoją opokę wynieść. Każdy karnawał wykazuje wprawdzie, że obawy są płonne, a twierdzenia, jakobyśmy pływali jedynie dzięki pęcherzom pod pachami — niedorzeczne; ale tegoroczny posiada moc szczególnie przekonywającą. Bo jeżeli teraz jeszcze mamy fantazyę do skakania, to nam jej nigdy nie zbraknie. Bal panieński, wioślarski, cyklistowski, tysiąc prywatnych — muzo zapustna, czegoż chcesz więcej od ludzi, którzy właściwie powinniby wyprawić sobie jeden bal— dziadowski? Jeden z moich znajomych, który wielokrotnie chybił w strzałach do serc niewieścich i skutkiem tego mierzy teraz do ich głów grotami zatrutymi, przypisuje kobietom naszym główną zasługę podtrzymywania dobrej, światowej sławy naszych karnawałów.

— Kobiety—powiada on— są bardzo podobne do żydów: ogółem są nieładne, do swych szat przywiązane, fanatycznie pobożne, ekonomicznie nas wyzyskujące, moralnie wykrętne. Prawda, jeżeli na tysiąc zwykłych żydów znajdzie się jeden wolnomyślny, uczciwy, rozumny, to przeważy dwustu aryjczyków, a jeżeli na tysiąc kobiet znajdzie się jedna piękna, a przesądów wyzwolona, zacna, to przeważy dziewięćset mężczyzn, ale wyglądu i wartości nie nadaje tkaninie jedna złota nić przeciągnięta śród tysiąca konopnych. Otóż większość kobiet potrzebuje karnawału za wszelką cenę i we wszelkich warunkach.

Przypuściwszy, że to twierdzenie zawiera przesadę — kobiety są wszędzie a najhuczniejsze zabawy u nas — zdaje mi się, że „płeć nadobna“ nie odstąpi brzydkiej prawa reprezentacyi w Olimpie. W naszej mitologii bóstwo karnawału jest rodzaju żeńskiego.

Bóstwo to w roku obecnym nie powinno ścieśniać swego kultu na ziemi tem bardziej, że niebo, którego najwierniejszy odblask na nas pada, teraz właśnie obchodzi gody. Papież bowiem świeżo wprowadził doń dziesięciu nowych świętych. Nie potrzebuję zapewniać czytelnika, jaką radością napełnia mię wiadomość, że czci godni Bonfiglio Monaldi, Sostegno Sostegni, Manetto dell'Antella i inni nakoniec otrzymali wstęp do nieba. Nie mogę wszakże pojąć, czemu przy sądzeniu procesu kanonizacyi „adwokat“ świętych tylko „zaklinał najusilniej,“ ażeby im przyznano żądany tytuł, a nie zwrócił uwagi „prokuratorowi,“ który ich oskarżał, że dzieje się im wielka krzywda. Wszakże niektórzy czekali na sprawiedliwość po kilkaset lat. Gdybym ja był owym „adwokatem,“ powiedziałbym tak: Ojcze św., jest to bardzo niełądnie, ażeby ludzie, którzy przed kilku wiekami zasłużyli na niebo, dopiero teraz byli doń wpuszczani. Jakkolwiek Piotr apostoł nie miał ani tyary lśniącej brylantami, ani kosztownych pierścieni, ani sekretarzów stanu, podkomorzych, podczaszych, marszałków i chociaż on dotąd strzeże wrót nieba a ty siedzisz na „nositelnym“ tronie, jednakże on posiada większą władzę: skoro więc on tym dziesięciu kandydatom dawno drzwi otworzył, czemu ty aż dotąd je zamykałeś? Kanonizacyi nie można wydawać na porcye, tylko należy przyznawać natychmiast tytuł świętości wszystkim, którzy na niego zasłużyli.

Tak bym rzekł — i zdaje mi się logicznie.

„Nowi niebianie“ — jak ich nazywa korespondent *Kuryera warszawskiego* — pochodzą z miast włoskich, hiszpańskich i francuskich, naszym nie dostał się ani jeden dyplom. Gdyby wszakże kiedykolwiek na nas spaść miała taka łaska, gdyby — co nastąpić musi — najpoboźniejszy z tylu pobożnych dziennikarzów warszawskich miał być kanonizowanym, proszę, ażeby mnie wybrano na adwokata jego sprawy. Dlaczego żaden z nich nie został odznaczony dotąd w ten sposób — pojąć nie mogę i tłumaczę sobie tylko zbytnim natłokiem kandydatów i zaległościami w badaniu ich dowodów. Ponieważ zaś sądy często robią przeskoki w wokandach i przywołują sprawy nie według kolei, to mniemam, że niejeden Sostegno i Amadio z XII w. mógłby ustąpić naszemu współczesnemu ziomkowi, który wychwala „zacność, dobroć i sprawiedliwość“ Leona XIII. W kwietniu ma nastąpić pielgrzymka „słowiańska“ do papieża — jej wodzowie powinni tę kwestyę podnieść.

Tymczasem tańczmy, a w przerwach rozmawiajmy z damami o „pracy organicznej,“ bo to modne. Modnem jest zwłaszcza potępianie owego hasła, które nas doprowadziło do zmateryalizowania i zbogacenia jednostek kosztem ogółu. *Gazeta rolnicza* rozpoczęła w tym przedmiocie szereg artykułów, które zdradzają pióro rozważne, ale niezupełnie wolne od złudzeń. Autor przyznaje, że pogoń za zyskiem nie była zasadą programu „pracy organicznej,“ ale wynikiem złego jej zrozumienia. Od lat kilku tak przywykłem czytać brednie, wypisywane przeciwko tej idei przez ludzi, którzy jej u źródła, w t. z. „młodej prasie“ nigdy nie zbadali, że aż mnie zdumiało to przyznanie. Wiem, jak „pozytywiści“ pojmowali „pracę organiczną,“ wiem że ogarniali nią cały obszar rozwoju wewnętrznego, wiem, że po nich nic lepszego nie wynaleziono i że taka praca, najrozmaiciej określana i rozwijana, będzie zawsze najwyższem zadaniem dla naszego społeczeństwa, bo jest nim dla wszystkich — a mimo to dziwię się, gdy widzę kogoś, niewskazującego w niej „głównego źródła naszych nieszczęść.“ O, bo my przynajmniej co rok musimy mieć nowe „źródło naszych nieszczęść,“ odnalezione przez jakiś ...*izm*. Niema na świecie narodu, któremu równie łatwo, jak nam, zaimponować świeżym ...*izmem*. Kogoś np. ogarnia nagła chęć szerzenia czytelnictwa śród ludu. Jest to „praca organiczna,“ ale to idea „wyszarzana,“ więc apostoł głosi, że on to będzie robił w imię ...*izmu*. Sekta gotowa: naprzód liczy dziesięciu, dwudziestu wyznawców, ale powoli ogół, kiwając głowami, powiada: tak, tak, w tym *izmie* jest trochę słuszności. Za rok zawiśnie na kołku nowe sitko — i tak dalej. Jestem przekonany, że gdyby wystąpił u nas krzykacz, zapowiadający zbawienie kraju animizmem, mormonizmem, ostracyzmem, kleopatryzmem, brytanizmem — zebrałby rzeszę uczniów, a poniekąd wmówił w szersze koła, że wymyślił jakiś lek zbawczy na wszystkie niedole i choroby społeczne.

Obecna moda — jak rzekłem — zwraca się przeciwko „organicznikom“ i zaleca różne *izmy*. „Praca organiczna“ jest *ein überwundener Standpunkt*—czyli — idea rozwijania materyalnych i duchowych sił narodu równa się idei krynoliny w epoce tiurniury, która żąda wypukłości jednostronnej.

Autor z *Gazety rolniczej* nie oświadcza się za programem tiurniurowym, ale popełnia błąd, utrzymując, że hasło (źle pojęte) „pracy organicznej“ zmateryalizowało ogół, „rozbudziło chciwość i rozluźniło sumienia,“ zbogaciło jednostki kosztem ogółu. Żadna logika nie zdoła mi tego wytłomaczyć, że jeden został wyzyskiwaczem, drugi skąpcem, trzeci ograniczonym dorobkiewiczem, czwarty zimnym egoistą skutkiem czytywania artykułów o potrzebie „pracy organicznej,“ *nb.* artykułów, drukowanych w tej części prasy, która nigdy przez ogół czytywaną nie była. Jak tu dwa zjawiska wiążą się z sobą — daremnie zgaduję. Mnie się zdaje, że wypielmy i wyrzućmy frazeologiczny perz, który nasze pole publicystyczne zachwaszcza i zacznijmy je uprawiać sumienniej: jeżeli społeczeństwo nasze istotnie zmateryalizowało się i znieczuliło na dobra duchowe, trzeba przyczyn takiego zwrotu poszukać głębiej a w każdym razie gdzieindziej, niż w artykułach i dziennikarskich programach, nawołujących ogół do „pracy organicznej.“ Jest to analiza wprost śmieszna.

Poseł Prawdy.

NA WIDNOKRĘGU.

Szlachcic w obronie chłopów. — Gospodarka i handel włościański. — Obywatel - filantrop. — Rozszerzenie pojęć i odwaga *Korespondenta płockiego*. — „Księgarnia“ i mięczaki raciązkie. — Wrogowie książek. — Lekarz rzemieślnik i lekarz z powołania. — Prof. Kruszewski. — Skromność piotrkowianek. — Rocznik Tow. Osad rolnych.

Nie mogę sobie przypomnieć, aby mi kiedy korespondencya jaka z prowincyi dostarczyła tyle przyjemności, co artykuł w *Wieku* p. Aleksego Chrzanowskiego z Dzierzązny. Autor, szlachcic, występuje w żarliwej obronie włościan: popierając ją długim szeregiem faktów dodatnich. Bodźcem dlań było zdanie jednego z krytyków warszawskich, ścierającego w proch największe talenty i zasługi społeczne: „Gdyby chłopi nie umieli wyrażać mową nieudolnych myśli swoich, trudnoby ich nazwać ludźmi.“ Ten wyrok potępienia *upośledzonych* oburzył rozsądnego rolnika. Ta „najliczniejsza, podstawowa część społeczeństwa polskiego“ zupełnie inaczej się przedstawia w przykładach korespondenta, niż w wyobraźni pisarzów od wszystkiego. „Chłopski rozum (słowa ziemianina) nie jest mytem, ale indywidualnym i nieulegającym sporowi przymiotem kmiotka naszego. Dzięki temu właśnie rozumowi, bez pomocy banków i bez sztucznej opieki, chłopi posiedli w okolicy mojej (Łodzi, Zgierzu i Łęczycy) w ostatnich latach dziesięciu półtrzecia tysiąca mórg fortun dawniej szlacheckich, nie licząc tego, co nabyli od kolonistów niemców.“

Oto jeden przykład znamienny: Przed laty czterdziestu rozparcelowano folwark Bądków na 30 działek włókowych i oddano je niemcom, posiadaczom pięknych łąk i gruntów urodzajnych dobrze uprawionych nad Moszczenicą i jej dopływem. Niedawno ostatni przybysz wywędrował stamtąd, spłacony przez chłopa. Obecnie cała z żyzną ziemią ładnie zabudowana wieś jest czysto polską. Bardziej godne to jest uwagi, iż o wiorst 6—9 leżą Zgierz i Ozorków, siedliska prawie wyłącznie niemieckie. „Faktów podobnych jest tak wiele — powiada obywatel — że gdyby większa własność mogła znaleźć w sobie siłę choćby odporną, obawy germanizacyi naszych okolic byłyby płonne.“ A jak włościanie gospodarują? Paweł Mirowski, obecny właściciel dziesięciowłókowego folwarku, nabytego od pp. Kurnatowskich, dawniej na swych 50 morgach ogólnej przestrzeni miewał do *dwóch tysięcy* korcy kartofli, sadząc je na łubinie i nawożc jednocześnie. P. Chrzanowski przekonał się, że chłop potrafi „przyzwoicie“ i samodzielnie gospodarować na większym folwarku, „przyzwoicie“ obrachowywać i wypłacać robotnikom i służącym. Choć zewnętrznie niczem się nie różni od swych współobywateli „dawniejszego autoramentu,“ stanem gospodarstwa nieraz przewyższa nawet większe folwarki. W Woli Branickiej czterowłókowa scheda Macieja Barnadziaka, *odkupiona od kolonistów niemców*, nadaje się, jak powiada korespondent, do konkursu tak kulturą i forsownem gospodarstwem, jak i ogromnym procentem, otrzymywanym przez niepiśmiennego właściciela. Znany on jest u swoich braci pod nazwą „mądrego Macieja.“ Trzyma do 6 koni pięknych i rosłych, po cztery i więcej ogromnej miary wołów, przeszło 25 sztuk rasowego bydła, zimą na opasie po sto skopów itd. Przy granicy mały skrawek lotnego piasku *pierwszy zadrzewił*, co skłoniło *dwóch inteligentnych szlachciców*, autora korespondencyi i jego ojca, do zadrzewienia brzeziną wydm na znacznych przestrzeniach z równie pomyślnym skutkiem. Maciej jest bankierem okolicznym, kupcem wełny i wyrocznią dla swych biedniejszych towarzyszów. Przy nawale różnorodnych zajęć niema innego przewodnika prócz chłopskiego rozumu. W Tyminee, rozparcelowanej śród samych niemców, Styczyński od jednego z nich odkupił młyn z dwiema włókami dobrego gruntu i łąką za 12,000 rubli. Właściciel ten ma wielką zaletę: dowiedziawszy się o sprzedaży przez sekwestratora za bezcen bydła, nabywa je na licytacyi na rzecz chwilowo ciężko przyciśniętego właściciela. Przoduje tam inteligencyą stolarz Ignacy. Na „nieledwie wydmie“ świetnie gospodaruje. Ma sad owocowy najszlachetniejszych odmian, pasiekę systemu Lewickiego. Jest starszym ławnikiem i abonentem pism specyalnie rolniczych.

Nie na samej tylko roli kończy się przedsiębiorczość włościan tamtejszych. Mnóstwo sklepów po wsiach rozwija się bardzo pomyślnie i dobrym towarem zabija tandetę żydowską. W Dzierząznie na 15 kmieci-gospodarzów, 10 handluje wszystkiem, co się nadarzy: polnemi gęsiami, marchwią wypasionemi, pierzem, puchem, skupują śmietanę dla cukierni łódzkich. Jed n nabywa marne źrebaki i wypasa je ku wiośnie na sprzedaż. Drugi, najzamożniejszy, kupuje całe gospodarstwa i parceluje pomiędzy biedniejszych. Inni, zakupując trawokosy od sąsiednich obywateli, dostarczają siano dla artyleryi. Pewien chłop dostawia do Łodzi kilkanaście tysięcy skopów rocznie, a gdy idą za granicę, wysyła do tysiąca tygodniowo. Gromada wspólników podczas krótkotrwałego otwarcia granicy, wysyła po kilka wagonów tygodniowo wieprzów. Ciż sami zmonopolizowali handel owcami dla Łodzi.

Sądy gminne i samorząd administracyjny zasługują tam na wielką uwagę. Ławnicy i wójtowie — jak utrzymuje p. Ch. — postępują z takim taktem, dobrą wolą, pojęciem i obeznaniem się z obowiązkami swymi, że wobec tego typy osławionych pisarzów gminnych są coraz rzadsze, a role ich mocno wybladłe.

Chłopi, wbrew twierdzeniu niektórych autorów — powiada korespondent — obdarzeni są wszystkiemi temi uczuciami, które zdają się być udziałem tylko inteligentnych ludzi. Tysiączne przykłady bezinteresownej miłości przywiązania macierzyńskiego, przyjaźni, gościnności, upoważniają do twierdzenia, że cechy te wartością swą nie ustępują uczuciom sfer wykształconych. Jeśli chłop polski — twierdzi p. Ch. — różni się w czem wielce od reszty swego społeczeństwa, to różnica ta jest czysto zewnętrzna i wkrótce się całkowicie zatrze. Wówczas te sfery inteligentne będą musiały ponieść wiele trudu, aby się utrzymać w naczelnych szeregach. Na to jednak trzeba najpierw: nie lekceważyć przeszłości, teraźniejszości, a nadewszystko — chłopa polskiego.

Fakty powyższe i zdania ich zbieracza nasuwają mi kilka uwag: najprzód — włościanie owi póty są sympatyczni, póki swą zaradnością przyczyniają się do dobrobytu całej swej gromady. Gdy wypływają na wierzch jednostki z dążeniami kapitalistycznemi, zagarniające monopol w handlu, kupujące grunt za 12,000 rs. — giną w nich pierwiastki dodatnie. Aferzysta działkujący nabyte grunty pomiędzy bezrolnymi, ma na względzie tylko własny trzos. Z czasem spaczeni powodzeniem materyalnem i spekulacyą, mogą się wytworzyć ciemiężyciele, wyzyskiwacze swych braci. Dalej—ciekawe zestawienie: gdy szlachta wyzuwa się z ziemi, lud ją gorliwie nabywa. Chłopi wysyłają wagonami wieprze za granicę ze świetnym zarobkiem i bez żadnych zachodów. Szlachta zjeżdża się, radzi, pisze ustawy, usiłuje stwarzać wielkie udziałowe towarzystwa dla wywozu wieprzowiny za granicę. Mijają miesiące — sprawa stoi na jednem miejscu. Nareszcie czytamy w pismach radosną nowinę: Obywatel X., jeden ze stowarzyszonych, powiózł do Paryża *na własne ryzyko* 5,000 kilogr. szynki.

Jeśli różnica chłopa w stronach p. Chrzanowskiego jest tylko zewnętrzna i wkrótce całkiem się zatrze, jakże opłakany musi być poziom inteligencyi tamtejszej! Istotnie, trzeba ponieść wiele trudu, lecz tylko dla własnej miłości, ażeby wstydem się nie okryć. Czy utrzymanie się „inteligencyi“ w naczelnych szeregach ma być zbawieniem społeczeństwa — wątpię... Dotychczas nieznano przykładów, iżby lud oddziaływał ujemnie na charakter i moralność uprzywilejowanych. Przeciwnie, mamy świeży szczegół charakterystyczny: chłop zadrzewia wydmę piaszczystą — dwóch szlachciców naśladuje go z powodzeniem! Inaczej nieraz działali światli. Zepsucie z dworu obejmowało czasem wioskę całą!

Są wszakże dziś osobniki, usiłujące zmazywać grzechy potworów swej krwi. W Mławskiem jest obywatel, przyjaciel ludu, jego doradca. Zajął się szczerze szkołą, uposażył hojnie nauczyciela, a tem samem zachęcił go do pracy. Wprowadził naukę robót kobiecych, warsztaty, przy których młodzież wiejska wyrabia się na dobrych kowalów, ślusarzów itp. Założył także kasę wiejską z kar ściąganych ze służby za przewinienia. Pieniądze te w końcu roku gospodarczego rozdzielane bywają pomiędzy najbiedniejszymi, albo też w razie choroby we wsi, idą na lekarstwa, doktora i trumnę. Funduszem kasowym zarządza cała gromada. Mieszkanie kmiecie składa się najczęściej z jednej izby, w której wspólne mają schronienie: ludzie, drób' i trzoda chlewna. W razie śmierci latem szybko rozkładający się trup jeszcze przysporza trucizny dla żyjących. Otóż ten sam ziemianin, zwróciwszy uwagę na to, buduje w swoim majątku trupiarnie, po jednej w każdej wsi, zdala od mieszkań. W tejże okolicy są jeszcze dwa takie typy wzorowych obywateli.

Niewolniczo-szlachecki organ, *Korespondent płocki*, zaznaczając powyższe fakty, dopuszcza się, pierwszy raz bodaj od swego istnienia, takich uwag, za które jego lojalni czytelnicy mogą się zemścić... przerwaniem prenumeraty: „Kara pieniężna, nakładana na służbę folwarczną za przewinienia, jest *grzechem*“ (naturalnie mowa tu o grzywnie, strącanej do kieszeni obywatelskiej). „Biedny chłopek, cały rok pracujący wszystkiemi siłami muskułów, podlegający zmianom atmosferycznym i ich szkodliwym wpływom, a wynagradzany skromnie, wystawiony na wszelkie najmniejsze przekroczenia i często najmimowolniejsze uchybienia zwierzchności, prowadzi żywot graniczący niemal z nędzą, a każdy grosz mu odjęty uważa za zdzierstwo, godne *sprawiedliwej pomsty*, a więc idą z dymem bogate plony,

zebrane do folwarcznych stodół, palą się sterty na polach, słowem zabrana pracownikowi tytułem kary kopiejka, na krocie rujnuje dominium!“

Brawo! Powinszować pismu wydobycia się z ciasnoty pojęć i odwagi, której dotąd mu brakło.

To samo pismo zaznacza znamienny rys życia umysłowego na prowincyi. Licha mieścina Raciąż posiada księgarnię z subjektami płci nadobnej. Gdzie pracują takie istoty, tam powodzenie musi być pewne. W tem samem przekonaniu wstąpił do sklepu ciekawy mieszkaniec i na zapytanie, jak idzie, otrzymał odpowiedź:

— Owszem, panie, dobrze, skarżyć się nie możemy. Sprzedaliśmy w ubiegłym roku przeszło dziesięć liber papieru; atrament ma także duży odbyt i ołówki, szczególnie Faber nr. 2.

— Ale książki czy mają pokup?

— Książki?.. owszem, sprzedaliśmy kalendarz „Tramwaj.“

— I nic więcej?

— I ścienny także...

Korespondent utrzymuje, iż mieszkańcy tej miejscowości zajmują się jedynie spożywaniem produktów wiejskich i drzemką na wielką skalę. Tam przynajmniej są mięczaki, którymi ani pogardzać, ani potępiać ich nie warto. Ale czem obdarzyć właściciela dóbr Ostrzeszyn, który, będąc zamożnym posiadaczem znacznej fortuny, sprzedał za 300 rs. skrzętnie zebrany przez wuja księgozbiór, liczący 2,800 tomów. Były tam podobno dzieła bardzo cenne, czego dowodem jest to, że antykwaryusz z owych nabytych sprzedał tylko 650 książek za 1,200 rubli gotówką.

Słyszałem o projekcie opracowania etyki lekarskiej. Warto pospieszyć dla zapobieżenia takim wypadkom, jaki zaszedł niedawno w Łodzi. Do pewnego doktora zgłosiła się pacyentka z kartką od zarządu stowarzyszenia wspierania chorych. Zamiast porady, otrzymała czynną zniewagę. Jakże się różnił od tego rzemieślnika-brutala doktor Krasowski w Batumie, który umarł niedawno ze zmartwienia, iż mylną dyagnozą sprowadził śmierć na chorego. W tych czasach pochłonął grób jeszcze innego pracownika nauki z powołania. Był nim Kruszewski, młody profesor uniwersytetu kazańskiego. Po otrzymaniu dyplomu i katedry, przyjechał do rodziny na Wołyń, skołatany nadmiarem mozolnej pracy. Nie pomogło świeże powietrze, ani wypoczynek. Ożywiony tylko myślą o przyszłych wykładach, skonał.

Kto płacze nad zanikaniem najpiękniejszych z cnót kobiecych—skromności, niech się uda do Piotrkowa, tam łzy osuszy i serce skurczone żalem rozszerzy. Dla zdobycia środków na założenie w tem mieście instytutu położniczego, urządzono zabawę i koncert. Na pierwszą i drugi *wstydziły* się przyjść niektóre panie, zaś amatorki-artystki odmówiły udziału z powodu fatalnego brzmienia celu: *położniczy*! Dewotki ze wszystkich klasztorów i kościołów! odmówcie dziękczynne modlitwy za to, że kraj nasz posiada jeszcze *czyste* kandydatki do nieba. Ręczę, że niewinność ich nie ustępuje waszej!

Towarzystwo osad rolnych w Studzieńcu wydało rocznik (za r. 1886). Ciekawe są dane, ale z żalem muszę je pominąć, poprzestając na kilku szczegółach: Widzimy tam więcej dzieci wiejskich niż miejskich, więcej zajmujących się przedtem posługą u rodziców, niż rzemiosłem, wyrobkiem lub wyłącznie kradzieżą. Większość stanowi najniższy poziom umysłowy. Stosunek ich do cokolwiek oświeconych jest 107 : 7. Największy procent dają dzieci mające obojo rodziców. Więcej jest posiadających ojca, niż matkę; mniej — bez żadnej opieki. Jednego wychowańca oddano do seminaryum, 87 na naukę gospodarstwa rolnego, dwóch do felczerstwa. Wielu jest już czeladnikami, majstrami, ojcami rodzin. Z powodu zupełnego zdemoralizowania wydalono *sześciu*. Kary: nagana, odłączenie od towarzyszów, zamknięcie w celi, degradacya do niższej klasy, osadzenie na chleb i wodę, chłosta. Tę ostatnią zastosowano do jednego za *swawolę* i *hałaśliwość* (!).

Drogomir.

Z Tykocina. Hr. Jan Klemens Branicki wybudował w r. 1768 w swem mieście Tykocinie dom murowany o czterech salach na szpital miejski dla 12 starców i kalek obojga płci, i aktem erekcyjnym z d. 26 lipca 1768 r., w aktach ziemi brańskiej oblatowanym, sowicie uposażył ten zakład dobroczynny, przeznaczając ze swych dóbr tykocińskich na wieczyste jego utrzymanie kilka tysięcy zł. pol. corocznie, w gotowych pieniądzach, odzieży, bieliznie, opale i różnych produktach, zastrzegając, aby w liczbie owych 12 osób mieściło się tam troje kalek, niemogących ani zarobić, ani użebrać kawałka chleba. Na początku tego zapisu powiedział: „chcąc przyjść w pomoc biednym, funduję itd“ a temi słowami jasno określił swoją myśl i wolę. Chociaż prawa i fundusze tego zakładu dobroczynnego są ujawnione i zabezpieczone hypotecznie na dobrach Tykocin, a sam ten zakład w tabeli likwidacyjnej m. Tykocina zapisany został jako „Szpital miejski“ — jednak obecnie ci, dla których to przytulisko zostało przeznaczone, nie korzystają z owych funduszów—bo żadna opieka, ani kontrola nad nim nie istnieje dla niewiadomych przyczyn. Gmach zrujnowany, ogród owocowy wyrąbany, ogrodzenia rozebrane, a w domu wspomnianym mieszkają samowolnie parobcy i służące probostwa, ludzie silni i zdrowi, którzy za dokonywane u księdza roboty gospodarskie odbierają dla siebie z dóbr Stelmachów i Lipniki całe powyższe uposażenie tego zakładu, podczas gdy kaleki i starcy umierają z głodu, bo ich tam, jako nieprzynoszących korzyści swą pracą, nie przyjmuje się—nawet na chwilowy odpoczynek, zziębniętych i skostniałych, i brutalnie wyrzuca za drzwi.

Pożądanem jest zatem przez owych biedaków, aby wola fundatora hr. Branickiego była wykonaną za pomocą opieki i kontroli nad tym zakładem dobroczynnym przez władzę Dobroczynności publicznej, co dla wielu biednych i kalek byłoby wielkiem dobrodziejstwem.

P. T.

PRASA RUSKA.

Now. Wremia pisze (według *K. W.*)

„Zdawałoby się, iż należy zwrócić uwagę na to, co zrobiła Rosya dla Królestwa Polskiego przez ostatnie lat 25. Sądząc z prasy polskiej — nie zrobiono nic dobrego: ani urządzenia włościan, ani zaprowadzenia organizacyi sądowej, ani rozszerzenie oświaty, ani ożywienie przemysłu — wszystko to blednie wobec autonomii...“

„Mimo to, już i teraz budzi się przekonanie, że dawne poglądy przestarzały się. W każdem nowem pokoleniu polaków czuć pewne otrzeźwienie. Jakiś tam przeżyty „pułkownik Struś“ może jeszcze przeklinać i ogłaszać Wielopolskiego zdrajcą, lecz dzienniki polskie, robiąc ustępstwa tendencyom takich „pułkowników,“ mówią poważnie zupełnie co innego. Wreszcie młode pokolenie, zajęte praktyczną pracą, które nie pamięta gorączki patryotyzmu powstańczego, a widziało tylko jej zgubne skutki, przy sposobności wyraża się nader rozsądnie i spokojnie. Jeżeli, przy zachowaniu pokoju, wyrośnie jeszcze jedno pokolenie, wtedy usłyszymy, być może, od niego, że przyszłość Polski jest nierozłączną od przyszłości Rosyi, jako najsilniejszego mocarstwa słowiańskiego. Dzisiejsze pokolenie, chociaż zaczyna to pojmować, jednakże głośno nie wypowiada jeszcze tego.“

„Nie poddajemy się zbytniemu optymizmowi co do stosunków rusko-polskich. Wierzymy tylko w siłę okoliczności, a szczególniej w potęgę czasu i nauk historyi. Te nieomylne wykładniki prawdy pozwoliły już teraz zrozumieć polakom, iż w Rosyi nie mają względem siebie wrogów we właściwem znaczeniu, lecz że tam znajdują się obrońcy interesów ruskich, którzy nie myślą niszczyć etnograficznie polskiej narodowości, o ile ta rozstała się z wrogiemi dla nas tradycyami i formułkami. Może też i zrozumieją nareszcie, iż ze strony ruskiej nie ma mowy o jakiemś „głaskaniu“ i pozyskiwaniu polaków w jakimbądź przypadku.“

Gazeta spodziewa się, że za lat 25 znikną nawet śród polaków „wspomnienia.“

Dniewnik warsz. z powodu swego 25 letniego jubileuszu powiada:

„Sprawa polska, zdrowo pojęta, przybrała teraz inny charakter. Myśl o wskrzeszeniu państwa polskiego coraz bardziej przechodzi w dziedzinę niespełnionych mrzonek i wypada się tylko dziwić tym marzycielom, którzy mogą jeszcze dawać wiarę nonsensowi, jakoby Polska mogła być odrodzoną dzięki staraniom Niemiec. Występuje natomiast kwestya inna, mianowicie: ściślejszego, rozumniejszego i dokładniejszego połączenia kraju, zaludnionego przez naród polski, z Rosyą, na której obszarach znajdzie się miejsce dla każdego poddanego i pole działalności dla każdego talentu. Polacy też stopniowo się przeświadczają, iż tylko w Rosyi i z Rosyą i w słowiańskiem posłannictwie Rosyi może być rozwiązany ten problemat, który dla narodów ruskiego i polskiego, co do wzajemnych ich stosunków, wywiązał się w samej historyi. Zbliża się więc chwila, że przez postawienie kwestyi życia będzie można zażądać od polaków rozstrzygnięcia raz na zawsze i ostatecznie wszystkich ich wątpliwości i wahań... Dziennik nasz uważał i uważa za swój obowiązek zdawać sprawę z tego, co mówi prasa polska o tych lub innych sprawach. Naszem zadaniem jest ostrzegać tych, którzy mają nadawać wagę krańcowym opiniom pewnej części prasy polskiej, obalać iluzye i fałsze, lecz jednocześnie zaznaczać i nowe inne głosy, już się odzywające... Chcemy wierzyć, że iluzye wkrótce utracą wiarę i że będzie śmiesznością ze strony prasy polskiej wszelka wątpliwość co do porządku siły i prawdy państwa ruskiego.“

KRONIKA BIEŻĄCA.

Odezwa. Osoby poważne i wiarogodne odzywają się za naszem pośrednictwem do ludzi zamożnych z prośbą o pożyczenie na lat dwa rs. 200 studentowi Instytutu Technologicznego w Petersburgu, który nie ma za co ukończyć studyów a zasługuje na pomoc i charakterem swoim przedstawia rękojmię spłacenia długu w terminie. Gdyby śród czytelników naszych znalazł się ktoś na tyle szczęśliwy, że mógłby, i na tyle dobry, że chciałby ubogiemu młodzieńcowi tę przysługę wyświadczyć, raczy zażądać od nas adresu i świadectw polecających.

Hodowla buraków cukrowych, zajmująca u nas kilka stacyj doświadczalnych, jest również przedmiotem badań i prób w Brzozówce (gub. kielecka). Rezultaty ogłasza p. W. Mayzel w dwu broszurkach *Hodowla nasion buraków cukrowych* oraz *Burak cukrowy i warunki jego produkcyi.*

Ministeryum oświaty zwróciło szczególną uwagę na religijną stronę nauczania i wychowania uczniów seminaryów nauczycielskich, oraz na to, aby trzymając się uproszczonego programu, tem lepszej nabierali znajomości religii, języków ruskiego i cerkiewno-słowiańskiego, tudzież arytmetyki.

Muzyka. Sympatyę publiczności warszawskiej zdobył wstępnym bojem młody skrzypek, p. Gregorowicz, który po zaszczytne laury już dziś sięgać może.

— Pani Esipów dała z powodzeniem koncert fortepianowy.

— P. Wł. Wiślickiemu, któremu Towarzystwo muzyczne winno inicyatywę i wiele skutecznych zabiegów, za 25 lat pracy urządzono koncert.

— P. Zarzycki przestał być dyrektorem Konserwatoryum muzycznego.

Próby odbywają się obecnie z nowym rodzajem papieru wekslowego, mającym tę wyższość nad używanym dotychczas, że będzie posiadał niewidoczne dla oka znaki, które staną się widzialnymi po najmniejszem usiłowaniu skrobania lub wywabiania tekstu pisma.

W Berlinie wypuszczono z więzienia krawca, Rudolfa Diemke, skazanego w maju 1885 r. na 4 lata za fałszerstwo weksli. Obecnie okazało się, iż wyrok był wydany na podstawie świadomie fałszywej przysięgi świadka. Więzienie zupełnie zrujnowało ofiarę pomyłki.

W Monte-Carlo w krótkim czasie zaszło ośm wypadków samobójstwa zgranych.

Nagrody. Na posiedzeniu petersburskiego Towarzystwa architektonicznego nagrodzono prace konkursowe. Treść pomysłu stanowiły trzy rozetki w stylu Ludwika XIV na sufit. Spółzawodników było dwudziestu. Nagrodę otrzymali trzej uczniowie 3-go i 4-go kursu szkoły architektów, polacy: Stefan Gałęziński, Adam Ditrych, z Warszawy obaj i Jan Nosowicz z Wołynia.

Wybuch. Przed kilku tygodniami wyleciała w powietrze fabryka prochu w mieście Amoy w Chinach. W gmachu znajdowało się 40,000 kilogramów gotowego prochu. Zginęło 50 żołnierzy zatrudnionych na miejscu i kilkaset osób w mieście. Cała sąsiednia dzielnica zniesiona. Kilka domów runęło nawet na przeciwnym brzegu rzeki.

Emerytura. Nowe prawo emerytalne dla zarządu telegrafistów wprowadzono od 13 b. m., przyczem $^1/_4$ emerytury udzielana będzie po 20 latach służby, $^1/_2$ po 25, $^3/_4$ po 30, cała pensya po 35.

Muzyka. Komitet warszawskiego Towarzystwa muzycznego, celem rozpowszechnienia gry na instrumentach dętych pomiędzy amatorami, a zarazem przysporzenia sił swojej orkiestrze, otwiera z d. 1 lutego odpowiedni kurs nauki, który trwać będzie 10 miesięcy w ciągu roku, po dwie godziny tygodniowo.

Trzecia szwalnia warszawska dla ubogich dziewcząt ogłosiła sprawozdanie. Wychowanek liczy 40, posiada oddział krawiecki. Liczba wykończonego ubrania i bielizny wzrosła w r. z. do 700 sztuk. Dochodu zakład miał 1.996 rs. 16 kop., wydatków rs. 1,449 kop. 64$^1/_2$.

Cło. Z powodu zaprowadzenia nowego cła od roślin, ogrodnicy warszawscy zaprzestali sprowadzać z zagranicy kamelie, rododendrony itd. Natomiast prowadzą hodowlę tych roślin u siebie na miejscu.

Zakaz. Najnowszy utwór dramatyczny Aurelego Urbańskiego p. t. „Watażka,“ zabroniło lwowskie namiestnictwo, pomimo przychylnego wniosku dyrekcyi policyi. Już czwarty utwór tego autora doznaje podobnego losu.

Zakopane. Marszałek sejmu galicyjskiego, hr. Jan Tarnowski, podał na mocy projektu posła Feliksa Pławickiego, następujący wniosek: Dobra Zakopane, liczące samego lasu 8,020 morgów, zakupić ma kraj z własnych funduszów na licytacyi 9 lutego b. r. za sumę 380,000 złr. Posiadłość ta pozostanie własnością kraju, a dochody obracane będą w znacznej części na stypendya dla młodzieży pod imieniem Franciszka Józefa dla uczczenia 30-ej rocznicy jego panowania. Wystawiony będzie w odpowiedniem miejscu pawilon myśliwski i ofiarowany cesarzowi wraz z prawem wyłącznego polowania w całych dobrach.

Egzaminy t. z. eksternów na stopień felczerów młodszych i starszych odbywały się dotąd w Warszawie cztery razy do roku. Obecnie wydano postanowienie, że egzaminy takie odbywać się będą jedynie w maju i na jesieni. Licznych kandydatów, przybyłych obecnie z prowincyi, spotkał z tego powodu wielki zawód.

Bibliografia. J. Cybulski, *Nowy śpiewnik warszawski*, Warszawa, Centnerszwer, str. 86.

— Dr. Perkowski, *Niemoc płciowa*, Warszawa.

— Dr. H. Dobrzycki, *Kilka słów o wskazaniach do kąpieli elektrycznych*, Warszawa.

— Dr. J. Drzewiecki, *Przyczynek* do właściwego leczenia pierwotnych ostrych zapaleń opłucnej za pomocą salicylanu sodu lub salolu, Warszawa.

— J. Łubieński, *Mechanika*, zeszyt 7.

Nagrody. Na ogólnem posiedzeniu sędziów dorocznego konkursu Sztuk pięknych zapadł wyrok następujący: W dziale malarstwa nagrodę pierwszą przyznano Annie Bilińskiej z Paryża za dwa portrety — własny i mężczyzny. Nagrodę drugą Wojciechowi Gersonowi za „Widmo królowej Barbary.“ Odznaczenia czyli listy pochwalne: pierwszy Samuelowi Hirszenbergowi z Monachium za „Jeszyboth,“ drugi Władysławowi Ciesielskiemu z Paryża za krajobraz „Potop,“ trzeci Lucyanowi Wędrychowskiemu z Krakowa za „Kuszenie św. Antoniego.“ W dziale rzeźby pierwszą nagrodę otrzymał Stanisław Lewandowski z Krakowa za figurę „Słowianin zrywający pęta.“ W dziale budownictwa nagrodę pierwszą Władysław Marconi za projekt domu dla zarządu gminy izraelskiej w Warszawie, drugą Tolwiński i Dąbrowski z Odesy za projekt szpitala dla miasta Mikołajewa. List pochwalny Jan Hintz za projekt gmachu wystawy sztuk pięknych.

Gaz. sądowa donosi, iż opracowano projekt ustawy normalnej dla towarzystw, zamierzających przeciwdziałać żebraninie ulicznej. Przepisy te mają być wkrótce rozpoznane przez władze właściwe i stanowić będą podstawę do takich towarzystw.

Handel. Niedawno bawił w Warszawie p. Smith, dyrektor największej na świecie dystylarni okowity w Carlshamie (Szwecya południowa), w celu zawiązania stosunków handlowych z naszymi wytwórcami wódki. Żąda on tutaj udzielenia mu pierwszeństwa przy sprzedaży okowity po cenach, jakieby osiągali, wysyłając ją do Hamburga, a przez to podniesie ceny na tym rynku, według których regulować się będą ceny na naszą wódkę, płacone przez Towarzystwo szwedzkie. Na operacyi tej zyska powyższa dystylarnia różnicę pomiędzy tańszym frachtem z Gdańska do Carlshamu, niż z Gdańska do Hamburga przez t. zw. *Hamburger Spesen*, wynoszące około 2%, których Carlsham, jako wolny port, nie ponosi. Warszawskie Towarzystwo oczyszczania i sprzedaży spirytusu ma zawrzeć z p. Smithem próbną tranzakcyę na jeden ładunek okowity.

Zarząd dróg Warszawsko-Wiedeńskiej i Bydgoskiej urządził własne agentury handlowe, zajmujące się ekspedyowaniem towarów na stacyach pogranicznych i w Warszawie. Obecnie ministeryum skarbu chce jeszcze ściślej przepis ustawy kolejowej zastosować i zamierza prawo clenia towarów zagranicznych oddać wyłącznie agenturom handlowym dróg żelaznych, na co kupcy i fabrykanci łódzcy odpowiedzieli, iż zamierzona zmiana narazi ich na straty, ponieważ agentury będą dbały jedynie o interes kolei. Z tego powodu proszą o wstawienie się komitetu do p. ministra skarbu, iżby zniesiono przymusowe powierzanie ekspedycyi celnej agentom handlowym kolei żelaznych i pozostawiono jak dotąd wolny wybór ekspedytora.

Oszczędności. Cyfra urzędników wydalonych z kolei Nadwiślańskiej z każdym dniem wzrasta. Niedawno dziewięćdziesięciu kilku spadło z etatu, obecnie z wydziału remontu usunięto znów dziewięciu, między nimi naczelnika tego wydziału p. Ruszkowskiego, którego miejsce zajął niejaki Hantower, przybyły z Petersburga. Po wydaleniu powyższej liczby okazało się, iż pozostali nie mogą podołać nawałowi pracy, a więc zatrzymano jeszcze trzech do lipca oraz przyjęto dwóch nowych kancelistów.

Zmarli. August Naquet, znany powieściopisarz dramaturg, w 75 roku życia. Długie lata był stałym współpracownikiem Dumasa ojca; do wszystkich większych powieści i sztuk jego sporo włożył swych trudów. Pomiędzy wspólnikami w r. 1853 wynikł spór o rozdział honoraryum. Sąd przyznał Naquetowi dwie trzecie praw autorskich do wielu sztuk na współkę napisanych. Zmarły pozostawił znaczny majątek, w całości piórem zdobyty.

— Stefania Jodłowska, w Krakowie. Przez kilkanaście lat poświęcała się bezpłatnemu nauczaniu w szkołach ludowych.

ODPOWIEDZI REDAKCYI.

P. J. Rych. we Lwowie. Sprawozdanie z tej książki mamy już przyrzeczone od naszego stałego współpracownika.

P. Krzyż. 1) Wyszło dopiero zeszytów sześć — czy i kiedy wyjdzie reszta, nie wiemy; 2) 10% rabatu; 3) tak; 4) nie dzieła Renana, ale jedno dzieło *Hist. ludu izrael.* wyjdzie naszym nakładem; 5) nie może być *cały* „Więzień Chillonu,“ skoro będą tylko *urywki* z utworów Byrona.

P. Z. Ap. Linde powinien być w sporze panów sędzią wystarczającym. *Wziąć* jest zasadniejszem, ale *wziąść* także upowszechnionem.

P. E. R. w Lublinie. Dowodzenie prof. Kocha przeciwko cyklistom jest zbyt naciąganem, a przekład zbyt niepoprawny.

P. A. Wł. Schm. w Bazylei. Treść rozprawki Pańskiej dla naszego pisma zbyt speayalna, a nadewszystko jej rozmiary za wielkie. Właściwszym byłby *Wszechświat.*

Sprostowanie. W artykule o książce p. Trepki, str. 15, szp. 2, wiersz 19 od dołu przy *Rheinische Zeitung* przepuszczono słowo *Neue*.

Druk K. Kowalewskiego, ulica Królewska Nr. 29. Дозволено Цензурою. Варшава, 15 Января 1888 г. Redaktor i Wydawca, dr. fil. A. Świętochowski.